

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 16 stycznia 1915. Nr. 3.

Walka o Warszawę.

Treść numeru: Polska szkoła podchorażych. — Na tułaczkę. — Z krakowskich szpitali wojskowych. — Z walk na morzu Adryatyckiem. — Nasza ciężka artylerya. — Z afrykańskiego terenu walki. — Czy ocalał? — Opieka nad rannymi w Rosyi. — Z teatru wojny.

Walka o Warszawę.

(Do illustracyi tytułowej).

Punkt ciężkości toczącej się obecnie wojny, która pożogą ogarnęła całą Europę, przeniósł się obecnie pod Warszawę. O posiadanie stolicy Polski toczy się obecnie najzaciętsza walka.

Już po raz wtóry stanęła armia niemiecka pod murami Warszawy. Za pierwszym razem ze względów strategicznych dokonała odwrotu, lecz wkrótce znowu rozpoczęła ofenzywę z nowemi olbrzymiemi



Z teatru wojny: Oddział Legionistów patroluje w Karpatach.

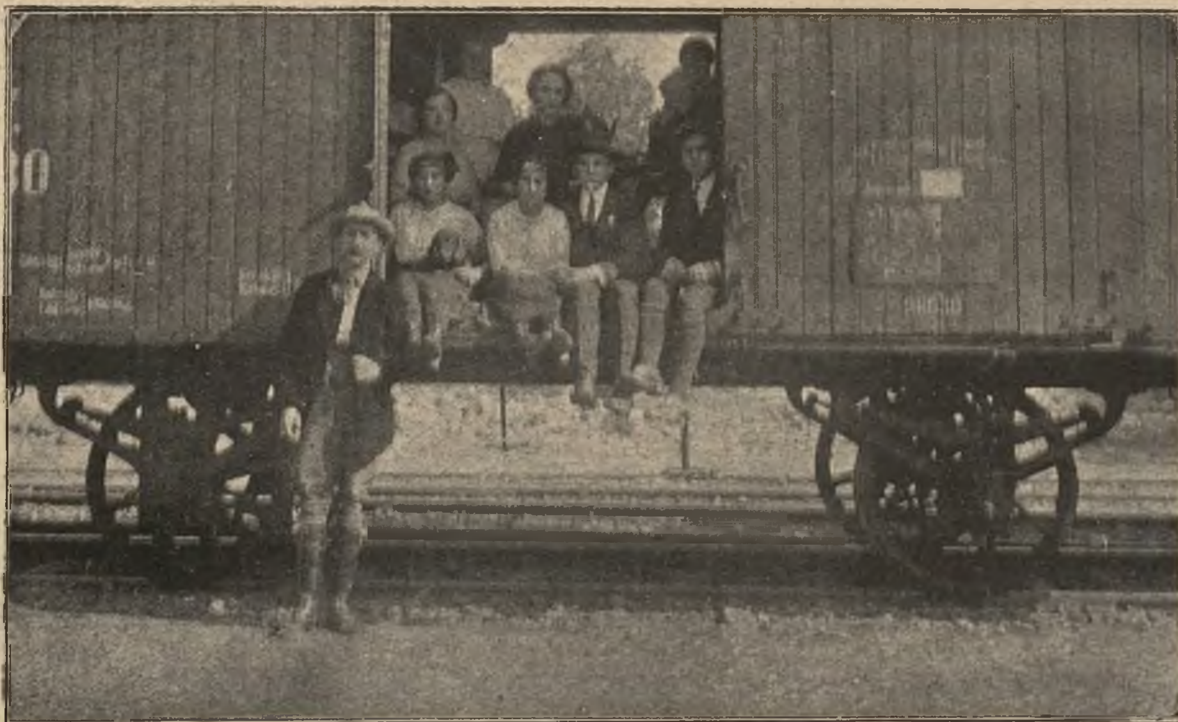
siłami i po zdobyciu Łodzi dotarła znów pod Warszawę.

Obie strony walczą wprost rozpaczliwie. Jak stwierdzają sprawozdawcy i oficyalne komunikaty, jest to najkrwawsza bitwa w obecnej wojnie. — Niemcy nie cofają się przed żadnemi ofiarami i dla zdobycia jednego szańca w ciągu jednej nocy dziesięć razy idą do ataku! Rosyanie walczą z równą zaciętością i postanowili bronić Warszawy „do ostatniej kropli krwi".

Stolica Polski — męczeńska Warszawa spływa znowu krwią... Tyle razy zrywała się sama do boju z przemagającym wrogiem — w obronie swej wolności... Rok 31, 63 i 1905 — to krwawa martyrologia jej bohaterstwa! Dziś walczą o nią milionowe armie — dziś ona stała się kluczem europejskiej wojny... Tam, pod murami grodu syreniego rozstrzygnie się los tych najkrwawszych w dziejach zapasów...

Wyniku tej walki czeka z upragnieniem cała Polska... Jej losy są zależne od losu Warszawy, pod murami której i Rosya i Niemcy zmobilizowały swe największe siły.

Jako epizod tej walki o Warszawę w dzisiejszym numerze zamieszczamy na tytułowej stronie marsz wojsk niemieckich na stolicę Polski.



Na tułaczkę: Obrazek ewakuacyjny.

Na tułaczkę.

Ze wszystkich krajów monarchii najbardziej ucierpiała skutkiem wojny Galicya, w której nie tylko powołani pod broń, ale cała ludność znalazła się w ogniu walki i musiała szukać schronienia w obcych krajach.

W poprzednim numerze zamieściliśmy szereg illustracyi i artykuł ks. Kasprzyka o polskiem mieście barakowem w Choceniu, w Czechach i niewygodach, jakie muszą tam znosić nasi wygnańcy. Odpowiednie czynniki poczyniły już starania, aby niedogodności życia barakowego usunąć. O ile jednak warunki życia naszych wygnańców na obczyźnie nie są do pozazdroszczenia, to sama podróż na miejsce przeznaczenia bywa jeszcze bardziej urozmaiconą. Dotyczy to zwłaszcza tej ludności, która w popłochu przed nadejściem nieprzyjaciela musiała uciekać. Illustracya nasza przedstawia właśnie taki obrazek ewakuacyjny — podróż w pociągu towarowym. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że w Krakowie, gdzie

Z krakowskich szpitali wojskowych: Personal szpitala Nr. 4, dla chorych wewnętrznie, mieszczącego się w Seminaryum męskiem. W pośrodku naczelny lekarz dr. Zdzisław Czaplicki.



Z teatru wojny: Austryacka kuchnia polowa w Serbii.

ewakuacya odbywa się stopniowo, z rozporządzenia władz, przygotowano wszystko, aby ułatwić wyjazd, który odbywa się wygodnymi pociągami osobowymi. Pomimo to podróż ewakuacyjna z Krakowa ma swoje specyalne właściwości i jest dość „urozmaiconą“...

Jeden z współpracowników naszej drukarni p. T. tak ją opisuje w nadesłanym nam liście:

„Sądzę, że wywiążę się z miłego obowiązku, opisując cudowną podróż naszą po nieznanym lądzie. Otóż tak: Miesiąc minął, jak piękny sen, odkąd wypchano nas uprzejmie z grodu Kraka i córki jego Wandy, byśmy od gromów grzmiących z naszych szczytów fortecznych nie nabawili się newrozy. Pomalutku, noga za nogą, delikatnie, wieziono nas przez trzy dni i tyleż nocy w daleki świat. Ponieważ rozkosznie ściśnięty za dnia, nie zawsze mogłem zdobyć miejsce przy oknie, przeto niekiedy sądziłem, że nas wiozą do neutralnej Hiszpanii. W nocy nie chcąc tracić nic z wrażeń, wyrzuciłem sen za okno, sądząc racyonalnie, że później odwetuję. Wśród drogi mieliśmy kilkanaście przepięknych złudzeń trzęsienia ziemi. Powodem tego była nadmierna liczba wagonów, wskutek czego maszynista musiał silnie ruszyć z miejsca, a rezultatem tego były zloty pakunków na niższe kondygnacye. Słowem urozmaicona była podróż, na monotonię narzekać nie można było. Bawiłem się wybornie w Atlasa, tylko zamiast globu dźwigałem na swych barkach toboły lub dzieci“.

Z krakowskich szpitali wojskowych: Pacyenci w szpitalu dla chorych wewnętrznie i ich troskliwe pielęgniarki. (X) Dr. Zdzisław Czaplicki.



Z teatru wojny: Mahometańscy uciekinierzy z Serbii.

Z teatru wojny.

Obecna wojna, największa, jaką znają dzieje świata, jest jednym szeregiem niespodzianek. Na olbrzymich jej frontach, liczących setki kilometrów, walka toczy się w niedających się przewidzieć zygzakach... Nieraz jedna doba przynosi decydujące zwycięstwo, to znowu miesiące upływają w walkach bez rezultatu. Na zachodnim terenie po tryumfalnym pochodzie armii niemieckiej w głąb Francyi, nastąpiło obecnie denerwujące zmaganie się równych sił. Zaczęła się tam walka pozycyjna — długa, wyczerpująca.

Inny przebieg mają operacye na terenie wschodnim. Tu sytuacya zmienia się, jak w kalejdoskopie. Sprzymierzone armie szturmowały już Warszawę, a w kilkanaście dni potem grzmiały armaty pod Krakowem. Teraz znowu dokoła Krakowa spokój, a armia niemiecka stoi pod murami Warszawy, o czem piszemy na innem miejscu.

Wojna obecna to rzeczywiście wojna niespodzianek, a wszędzie i zawsze ma jedną tylko wspólną cechę: tak wielkie żniwo zniszczenia i śmierci, jakiego nie było w żadnej dotychczas wojnie.

Z teatru wojny: Ruiny w mieście Lille, zbombardowanem przez artyleryę niemiecką. W głębi gmach teatru miejskiego.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

26

— Bądź dobrej myśli, kochany przyjacielu, jeżeli Zaruk tak utrzymuje, musi w tem być coś pewnego. Już kilka dni temu wytłómaczyłem ci nadzwyczajną wrażliwość i delikatność jego odczuć, dochodzących niekiedy do prawdziwych objawień. Zdarzało się często, że miss Alberta zabłądziła w lesie i za każdym razem Zaruk powodowany intuicyą szedł prosto mimo swojej ślepoty do miejsca, gdzie się znajdowała. Nie uwierzysz, mój drogi, jak mnie to zapewnienie murzyna uspokoiło i dodało odwagi. Nie poddawaj się więc rozpaczy, bo dziś jeszcze odnajdziemy miss Albertę.

Pościg.

W kilka minut później Robert i jego przyjaciele opuszczali willę, pozostawiając w niej tylko małą Cherifę i lorda Frymcocka, któremu polecili natychmiast telefonować do Bizerty. Poprzedzani przez Zaruka, zapuścili się w ścieżkę, pozostawiając po lewej stronie główną drogę leśną. W dali na jasnym tle nieba rysowała się ciemna linia gęstych oliwnych lasów. Po chwili spuścili się po bystrej pochyłości wzgórza, u stóp którego płynęły wody przezroczystego źródła, otoczone skałami i gąszczami różowych laurów. Z każdą chwilą upał wzmagał się; powietrze stawało się ciężkie i parne. Z jasnego pogodnego nieba biły snopy gorących promieni na wierzchołki drzew, z których unosił się delikatny mglisty opar. Zdawało się, że z rozpalonych drzew sok ich żywotny ulatniał się w drobnych atomach. Po godzinie musiano odpocząć nad brzegiem strumyka. Gdy po wypoczynku ruszono dalej, Zaruk idący na czele małego pochodu, dawał oznaki najwyższego zadowolenia.

Szedł z głową do góry wzniesioną, uśmiechnięty radośnie, nerwowo tylko od czasu do czasu poruszając nozdrzami, jakgdyby wietrzył upatrzoną zwierzynę.

Szli już jednakże od kilku godzin, drapiąc się po skałach, przeprawiając przez strumyki i doliny, ale nigdzie jeszcze nie widzieli obiecanych przez murzyna ruin, gdzie miało się znajdować schronisko Wampirów. Robert zmęczony, zbolały, ledwie nie chory, wlókł się ciężko, zachęcany serdecznemi słowami brata i przyjaciela.

Okolica, którą przecinali, była pusta; nie spotkali nikogo po drodze. Kiedy Robert wyraził tej przyczyny zdziwienie, Ralf Pitcher powiedział mu, że od dnia upadku bolidu na willę, w okolicy zaczęto w różny sposób komentować ten fakt.

Niedyskrecya służby utworzyła w gorącej imaginacyi okolicznego ludu arabskiego fantastyczne legendy o Wampirach.

Jakiś historyk powiedział, że legenda jest źródłem historyi. Do błyskotliwej fantazyi opowiadacza dołączyły się fakta, których nikt naocznie nie sprawdził, niemniej jednak zapewniano o prawdziwości ich szczegółów.

Mówiono więc, że potwory, przybyłe w tajemniczy sposób, porywają i pożerają dzieci i jagnięta, a właściwie w szatański sposób umieją ze swoich ofiar wytoczyć krew do ostatniej kropli.

Po kilku dniach wszyscy zdaleka okrążali willę, jako miejsce przeklęte gniewem bogów.

Pastwiska zostały porzucone; monotonne śpiewy pasterzy nie rozlegały się już melancholijną pieśnią po polach i wzgórzach.

Pomimo bogactwa zieloności i złotego słońca, rzucającego snopy oślepiających promieni na lasy, rozśpiewane gwarem ptasząt i morze pogodne o jasnych, przejrzystych falach, pejzaż otaczający willę miał w sobie coś ponurego. Nawet Ralf Pitcher, najdzielniejszy ze wszystkich, gdyż on jeden zachować potrafił pomimo dręczącego go niepokoju, całą krew zimną i przytomność umysłu, był pomimowoli pod przygnębiającem wrażeniem, idącem od tych pól szerokich i lasów.

Nareszcie Zaruk zatrzymał się na szczycie olesionego wzgórza.

— Przybyliśmy — rzekł wyciągając rękę — Oni są tam!

— Zaruku! — zawołał Robert — a jeżeli się mylisz!

— Zaruk nie myli się — odparł poważnie Murzyn. Niech pan patrzy, niech pan dobrze obejrzy te zwaliska! Miss Alberta jest w nich ukryta!

Robert rozejrzał się wokoło. Ujrzał chaotyczne nagromadzenie walących się arkad, na pół ukrytych w gąszczach, chylące się popękane kolumny i sklepienia, skąd, jak gibkie, długie węże, wypełzały korzenie pnących się roślin.

— Oto są rzymskie ruiny Chechalii — objaśnił przyjaciela Ralf Pitcher. Tu według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się miss Alberta. Jesto jedyne miejsce na dziesięć mil wokoło, które może służyć za schronisko Wampirów. Przyzwyczajeni do całonocnego spoczynku, oszołomieni ciężką atmosferą Ziemi, muszą być bardzo umęczeni i sił pozbawieni. Jestto dla nas okoliczność bardzo sprzyjająca, bo łatwiej i prędzej zwyciężymy ich.

Robert nie odpowiedział, tylko utkwił w przyjacielu spojrzenie pełne rozpaczy i błagania, jakgdyby chciał dać mu do zrozumienia, że stracił zupełnie nadzieję odzyskania narzeczonej.

— No, cóż u dyabła! — zaklął silnie wzruszony Ralf Pitcher — bądźże mężczyzną przecież! Skoro ci przysięgam, że ją odnajdziemy, nie masz potrzeby robienia tych min pogrzebowych. Robert w milczeniu uścisnął gorąco rękę przyjaciela.

Przez kilka chwil następnych zachwycali się widokiem majestatycznych ruin; składały się one z trzech piętrowych sklepień, przywartych do olbrzymiej skały i pokrytych bujną roślinnością. Podobne były do wielkiej świątyni o dachu lesistym.

Wysmukłe, strzeliste drzewa różowych laurów, rosnące pomiędzy złomami kamiennymi, zdawały się wyciągać pachnące ramiona do przechodniów. A tam we wnętrzu starych, omszałych sklepień, zwoje pnącego bluszczu i róż dzikich rozpościerały swoje bujne gałązki, kołysząc się rytmicznie za najmniejszym powiewem wiatru. Jerzy Darvel, który dotąd pozostał trochę na uboczu, przybliżył się teraz do brata i Ralfa Pitchera.

— Należałoby — szepnął półgłosem, jakgdyby lękał się obudzić czujność ukrytych Wampirów — przed rozpoczęciem jakiejkolwiek akcyi upewnić się o rozkładzie wewnętrznym tych podziemi. Mogłaby nas spotkać niemiła niespodzianka.

— Archologowie utrzymują — odpowiedział przyrodnik — że jest to część fortyfikacyi, zbudowanych niegdyś przez Rzymian. Budowa ich jest bardzo prosta i nieskomplikowana; jest to jeden długi ciąg obszernych piwnic sklepionych, z których jedynie tylko najniższe piętro znajduje się jeszcze w dobrym stanie. Tam to gromadzono dawniej zapasy zboża, oliwy, wina w wielkich amforach i puharach, jak to do dziś dnia czynią jeszcze Arabowie. Zaruk, który na podobieństwo swoich współwyznawców awanturował się dosyć często w te podziemia w poszukiwaniu za ukrytym skarbem, zna dokładnie cały rozkład tych ruin. Możemy mu zaufać w zupełności.

— A więc mamy wszystko, co nam potrzeba! — zawołał żywo Jerzy Darvel — Murzyn będzie naszym przewodnikiem i jeżeli naprawdę Wampiry znajdują się w tej dziurze, przekonamy się, czy są odporni na kulki rewolwerowe.

Na wszelki wypadek przed opuszczeniem willi młody człowiek zaopatrzył się w doskonały rewolwer wypróbowanego systemu i w dostateczny zapas kul stalowych, nie tyle żeby wierzył ślepo w tę broń ziemską, zdolną do zwalczenia istoty tak dziwnej konstrukcyi organicznej, lecz przypuszczał, iż potwory, nieznające dotąd broni palnej, rozpierzchną się przy pierwszej próbie.

Jednakże Zaruk, który stał w oddaleniu kilku kroków od rozmawiających braci i Ralfa Pitchera i nadsłuchiwał pilnie tego, co mówili, podszedł nagle i pociągnął przyrodnika za rękę, wskazując głową niebo. Wyraz twarzy miał dziwnie skupiony i poważny.

Niebo już od pewnego czasu zaciągnęło się chmurami i przybierało barwę siarki i smoły. Po przez nie niekiedy jeszcze strzelały gorące promienie słońca, rzucając ołowiany cień na wznoszące się opodal ruiny. W oświetleniu tem ponurem nabierały one dziwnie ponurego i niepokojącego wyglądu.

Czego chcesz, Zaruku? — zawołał Pitcher.

— Panie! czy widzisz? — odparł Murzyn.

— Chcesz mnie przestrzedz o nadciągającej burzy, mój przyjacielu? Zauważyłem już ja, ale co ona wpłynąć może na nasze zamiary? Nie traćmy czasu! Prowadź nas do ruin, do głównego wejścia pod sklepieniem, tego tylko na razie żądam od ciebie, ale jeżeli się lękasz, będziemy zmuszeni sami sobie dać radę.

Bez odpowiedzi Zaruk natychmiast ruszył ku ruinom.

Za nim szedł Ralf Pitcher i Robert Darvel i już wkraczali w pierwsze złomy rozwalonych kamieni, kiedy Jerzy, który pozostał cokolwiek w tyle, zatrzymał ich stanowczym ruchem ręki. Zrobił nagle odkrycie, którem radośnie podzielił się z bratem. Nieopodal krzaka, koło którego przechodził, znalazł oderwany szmat jedwabnej materyi.

— Jak sądzisz, Robercie? — zapytał gorączkowo — czy ten strzęp nie byłby własnością miss Alberty?

Robert rzucił okiem na jedwabną, zieloną szmatkę w ręku brata i zbladł silnie z doznanego wzuszenia.

— To jest kawałek wstążki, którą tej nocy jeszcze miss Alberta miała przewiązane warkocze — wyszeptał z trudem — Jestem tego pewny! Zaruk powiedział prawdę! Jesteśmy na dobrym śladzie! Miss Alberta znajduje się tutaj!

Jerzy Darvel był zdumiony; do tej pory zachował pewne wątpliwości co do niezwykłej intuicyi niewidomego murzyna, ale teraz wątpliwości te rozwiały się zupełnie, wobec jasnego dowodu prawdy jego przypuszczeń, który trzymał w ręce.

Robert Darvel ukrył starannie strzęp znalezionego jedwabiu do portfelu. Nowa nadzieja wstąpiła w jego serce.

Już teraz z pewnością siebie i zuchwałą odwagą przyjaciele przekroczyli wejście do podziemi, ukryte pod gąszczem fantastycznie skręconych lian. Murzyn wyciągnął z pod burnusa niewielką latarkę i zapalił ją; Jerzy Darvel trzymał w ręce nabity rewolwer. Zaczęli schodzić ostrożnie, rozglądając się wokoło.

Przebywszy długi rząd schodów wyżłobionych w kamieniu skały, doszli bez żadnej przeszkody do wielkiej sklepionej sali, skąd zerwały się tłumnie z lękliwem trzepotaniem skrzydeł stada zbudzonych ze snu nocnych ptaków.

Robert Darvel uparł się iść pierwszy na czele pochodu.

Nie mógł się oprzeć myśli, on, który tak dobrze znał zwyczaje tych potworów, że przedsięwzięcie to jest szalone i niebezpieczne. Ale sądził, że w razie jego śmierci, uda się może bratu i przyjacielowi oswobodzić miss Albertę, był pewny bowiem, że gniew i zemsta Wampirów zwróci się w pierwszej chwili tylko przeciw niemu.

Jerzy był pewny ufności i entuzyazmu; tłomaczył sobie, że jakkolwiek Wampirzy posiadali niezwykłą potęgę, nie będą zdolni oprzeć się niszczącej sile kul rewolwerowych.

Posunęli się jeszcze dziesięć metrów naprzód, ale już wolniej i ostrożniej. Zaruk dawał oznaki niezwalczonego przerażenia. Całe ciało jego wstrząsały raz po raz nerwowe dreszcze, a czarna twarz jego przybrała odcień popiołu.

Jasnem było, że czuł już obecność niewidzialnych istot. Nagle przystanął; stłumiony okrzyk trwogi wyrwał się z jego piersi, a latarka, którą trzymał w ręce, upadła z łoskotem na ziemię.

— Co ci się stało — zawołał Pitcher podnosząc latarkę — widzę, że drżysz cały.

Nie dokończył. Wielki szary cień przesunął się między nim a ścianą z kamienia, Jerzy zaś odczuł dotknięcie ciężkiego, kosmatego skrzydła. Zimny pot wystąpił na czoło młodego człowieka.

— Wampir — szepnął usuwając się bezwładnie na ścianę, ale odwaga zapanowała nad chwilową słabością. Odwiódł spiesznie kurek od rewolweru i strzelił przed siebie. Kula odbiła się od sklepienia i upadła u stóp Jerzego, a w głębi podziemia zaszemrał wybuch stłumionego, szyderczego śmiechu. Jerzy podniósł kulę z ziemi; nie było na niej żadnego znaku, stalowa powłoka została zupełnie nienaruszona.

Wszyscy milczeli przejęci panicznym strachem. Biedny Zaruk objawiał najwyższe przerażenie.

— Strzeliłeś pan do Wampira — zapytał w końcu Pitcher cichym głosem.

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedział z trudem Jerzy — ale patrz pan — mówiąc to, pokazał przyrodnikowi nietkniętą kulę.

— Byłem przekonany, że tak się stanie — rzekł Robert — przypomnijcie sobie, co wam jeszcze wczoraj w tym względzie mówiłem.

— Byłem świadkiem podobnych zdarzeń w Indyach — dodał Ralf Pitcher. — Kapitan Wall strzelał często w ten sposób do fakirów, nie czyniąc im jednak żadnej szkody. Kapitan Wad był dzielnym strzelcem i posiadał broń dobrą i wypróbowaną, której jednak fakirzy potrafili się oprzeć, doprowadzoną do szczytu potęgą woli. Kula powracała do jego stóp bezsilna, od tak, jak ta obecnie.

— Czy rozumie pan teraz niezrównaną potęgę, którą posiadać muszą Wampiry o mózgach tak silnie rozwiniętych, w porównaniu z tymi nędznymi szarlatanami indyjskimi.

— Brat pana miał zupełną słuszność twierdząc, że siły nasze są niczem wobec ich woli i zdaje mi się, niestety, że nie możemy marzyć o zwyciężeniu ich.

Ralf Pitcher, tak pewny siebie i odważny w pierwszych chwilach, ulegał sam teraz, pod wrażeniem

pierwszego zetknięcia się z siłą Wampirów, rozczarowaniu i zniechęceniu.

Ale słowa te podnieciły tylko entuzyazm i zaciekłość Jerzego Darvela.

— Zobaczymy jeszcze — zawołał, zaciskając z gniewem pięści. — Nie odstąpię stąd, póki się nie przekonam ostatecznie, że jesteśmy słabsi od nich.

I trzykrotnie, zanim brat mógł mu przeszkodzić w wyładowaniu podniecenej energii, wystrzelił w kierunku, gdzie zniknął cień szary.

Wszystkie trzy kule powróciły do stóp jego na podobieństwo pierwszej. Ale na odgłos tych strzałów rozległ się przenikający okrzyk w głębiach podziemia.

— Alberta, to Alberta — zawołał Robert, oszalały z rozpaczy. — Usłyszała nas, wzywa naszego ratunku.

Rzucił się naprzód, lecz prawie w tej samej chwili cofnął się z stłumionym okrzykiem przerażenia. Ku zdumieniu jego przyjaciół, skierował się ku wyjściu podziemnego korytarza, odwracając ślady swych stóp na odwrót.

— Gdzie idziesz, Robercie? — zawołał przyrodnik — Czy nas opuszczasz? — Ale Pitcher umilkł nagle, przejęty okropnem zdumieniem; spostrzegł bowiem, że stopy przyjaciela nie dotykają ziemi.

W chwili zaś, gdy uczynił to przerażające spostrzeżenie, uczuł się sam pochwycony za włosy i wyciągnięty na zewnątrz, z siłą, której się oprzeć nie mógł!

Kiedy odzyskał przytomność umysłu i otrząsnął się z okropnego wrażenia, znalazł się przy wejściu do podziemi, pomiędzy przyjaciółmi, tak bladymi jak on sam.

Wszyscy milczeli, jakgdyby im nagle kto odjął władzę mówienia i spoglądali na siebie nieprzytomnym wzrokiem.

— Przekonaliście się sami — wyszeptał po długiej chwili Robert Darvel z widocznym wysiłkiem. — Nie raczyli nas nawet zabić, tylko pogardliwie wyrzucili ze swojego schroniska! Co robić! mój Boże! co robić! Jak wyrwać z ich rąk miss Albertę! Ralfie! ratujcie mnie! bo czuję, że oszaleję!

— Ale co robić! co robić! — powtórzył rozpaczliwie Jerzy, patrząc z boleścią na ukochanego brata, którego ten wypadek zdawał się zupełnie łamać i pozbawiać dawnej energii i odwagi.

— Ostrzegli nas dosyć zresztą względnie — wyrzekł Zaruk, ciężko wymawiając wyrazy. — Jeżeli będziemy ich dalej atakować, napewno nas zabiją. Boję się, panie!

— Wszyscy boimy się, mój biedny Zaruku — odpowiedział smutnie Jerzy — i nie wstydzimy się tego. To nie jest zwykły nieprzyjaciel, z którym z pewnością dalibyśmy sobie radę.

— A przecież nie mogą nas pokonać! — rzekł Pitcher, którego już gniew ogarniał szalony — Zwyciężymy do dyabła, albo pozwolę, aby imię moje pokryło się hańbą! Słyszycie, moi przyjaciele!

Przyrodnik usiadł na rozwalonej kolumnie i ukrył głowę w dłoniach, jak sztubak męczący się nad rozwiązaniem arytmetycznego zadania.

Nagle powstał z twarzą rozjaśnioną jakąś myślą.

— Robercie! — rzekł — nie ulegajmy sile fenomenów, które bądź co bądź są już w części wytłomaczone i zrozumiane przez naukę. Były promienie X — są i istoty X, jest to dowodzenie zupełnie logiczne. Nie możemy również dobrze wytłomaczyć sobie natury zjawisk, które były postrachem w wiekach średnich. Ale jeżeli Wampirzy są niewidzialni, to jeszcze nie powód, abyśmy się ich obawiali i przekonam ich, że nie są na siłach walczenia z nami. Oto co wam powiadam ja, Ralf Pitcher.

Całą tę tyradę przyrodnik wyrzucił z siebie z pewnym odcieniem zarozumiałości iście angielskiej.

— Ależ w końcu — zapytał Jerzy Darvel niecierpliwie — co pan zamierza uczynić?

Pitcher bez słowa wyjął z rąk Murzyna olbrzymią maczugę, w którą był uzbrojony i wskazując wiszący nad wejściem do ruin wielki odłam kamienny, który od spodu oderwany, zdawał się tylko wisieć na włosku, rzekł:

— Zamuruję poprostu Wampirów w ich schronisku. Nie będą mogli porwać miss Alberty, nie będąc przez nas widziani. Pozostaniemy tu jako warta, a podczas tego, jeden z nas, pan Jerzy naprzykład, uda się do Ain Draham i poprosi komendanta twierdzy, aby oddał do naszej dyspozycyi oddział żołnierzy. Sądzę, że nam tego nie odmówi. Otoczymy kordonem ruiny naokoło i zaciągniemy wszędzie siatkę drucianą, którą rozciągnie się na wszystkie szczeliny i otwory podziemia. Tym sposobem Wampiry nie uciekną nam, zaręczam! Jak się wam mój plan podoba?

— Doskonały! — odparł Jerzy Darvel — ale gdzie znajdziemy podobną siatkę? W każdym razie potrwa to długo, a tymczasem miss Alberta może zginąć z braku natychmiastowej pomocy!

— Pomyślałem i o tem — odpowiedział Pitcher. — W zatoce naszej znajduje się obecnie parowiec, w drodze do Tabeski; siatki i żagle, w które jest opatrzony, posłużą do naszego celu. Zapłacimy w ministerstwie marynarki cenę, którą na nie nałożą. Oto wszystko!

Robert i Jerzy zdumieni byli błyskawiczną decyzyą przyrodnika i zmysłem praktycznym, który tak niespodziewanie objawił.

— Tylko uważaj, Ralfie — ostrzegał inżynier — że zamurowanie, które chcesz dokonać, może zatamować zupełnie przypływ powietrza do ruin i że miss Alberta...

Pitcher wzruszył ramionami.

— Dosyć jest szczelin i szpar w takich starych ruinach. Nie potrzebujesz się obawiać o miss Albertę, jest to jedno z mniejszych niebezpieczeństw, które zagrażać jej może.

I przerywając rozmowę, Pitcher wdrapał się po kamieniach przy pomocy maczugi ostro zakończonej, którą wbijał w szczeliny skał i zabrał się natychmiast do założenia otworu olbrzymim blokiem.

W tej chwili grad dużych kamieni, wyrzuconych z nadzwyczajną siłą jak z procy, buchnął z ziejącej paszczy podziemia.

Wampirzy, wypędziwszy nieprzyjaciół ze swojego schroniska, gotowali się widocznie do obrony.

Robert Darvel, który błyskawicznie rzucił się na ziemię, nie został niemi dotknięty; Zaruk otrzymał lekką ranę w nogę, ale Jerzy Darvel, ugodzony silnie w skroń, upadł bezsilnie na ziemię oblany krwią. Równocześnie nadludzkim wysiłkiem Pitcher zdołał oderwać kilka kamieni, podtrzymujących chwiejący się już blok, który nagle runął z hukiem dalekiego grzmotu, zawalając swoim ciężarem wejście korytarza w chmurze duszącego pyłu.

Robert Darvel rzucił się oszalały trwogą na nieruchome ciało brata.

— Jerzy! mój biedny Jerzy! — wołał nieprzytomnie.

Pitcher i Zaruk pomogli mu do przeniesienia rannego pod wielkie, cieniste drzewo; młody człowiek nie dawał żadnych oznak życia. Przygnębiony nowem nieszczęściem Robert, płacząc nerwowo, ściskał i całował brata, wymawiając wyrazy bez związku.

Pitcher wstrząśnięty nagłą obawą o zmysły przyjaciela, przyskoczył do niego i brutalnie wstrząsnął go za ramię.

— No, dalej! — zawołał ostro — Robercie! wstawaj i nie jęcz jak dziecko! Płacz do niczego nie doprowadza! Tu trzeba działać i to spiesznie! Rana twojego brata nie jest tak poważna, jak się wydawała na pierwszy rzut oka! Trzeba go przenieść natychmiast do źródła, które znajduje się tu o kilka kroków. Świeża woda przywróci mu przytomność. Jednakże nie chcę stracić z oczów tych mściwych potworów. Nie należy dopuścić do tego, aby skorzystać mogli z naszej nieobecności, i zrzucić barykady, poza któremi są dotąd uwięzieni.

Po krótkiej naradzie postanowili, że Zaruk pozostanie na straży naprzeciw ruin, a Jerzego ułożono na posłaniu z liści i gałęzi, które szybko zaimprowizowali i zaniesiono go do źródła. Szli pomału, przygnębieni ciężkiem parnem powietrzem i zmęczeni temi nadzwyczajnemi wrażeniami. Mdły zapach bił od rozgrzanej ziemi, a drzewa nieruchome i ociężałe kłoniły się smutnie ku ziemi, mdlejące pod palącymi promieniami słońca.

Nagle zerwał się szalony huragan; wielką, ołowianą chmurę rozdarł snop błyskawic i lunął deszcz gwałtowny, waląc wielkimi strumieniami, żłobiąc momentalnie ziemię, unosząc kamienie i połamane gałęzie drzew. Ralf Pitcher i Robert zostali w jednej chwili przemoczeni do nitki, musieli się zatrzymać i ukryć się pod wielkim cienistym drzewem.

Ale świeżość tego deszczu zbawienną się okazała dla rannego; otworzył oczy, westchnął głęboko i usiłował usiąść. Wielka radość ogarnęła przyrodnika na widok tego powrotu do sił, który nastąpił wcześniej, niż się tego spodziewał.

Równocześnie z pomiędzy drzew wybiegł Zaruk ociekający wodą i twarzą zmienioną do niepoznania.

Pitcher przeczuł nową katastrofę.

— Prędko! prędko! — wołał murzyn zduszonym głosem — chodźcie prędko! Ogień jest w ruinach!

— Oszalałeś chyba — odparł przyrodnik — skądżeby się wziął ogień w ruinach na taki deszcz.

— Nie czas na zastanawianie! — zawołał Robert — biegnijmy! Zdaje mi się, niestety, że rozumiem wszystko!

Obaj młodzi ludzie rzucili się śladami murzyna, przeskakując strumienie i kałuże nagromadzone na drodze. Robert nie omylił się; kiedy stanął przed ruinami, kłęby duszącego, cuchnącego dymu biły ze wszystkich szczelin starej budowli.

— Miss Alberta w tem piekle! — wyszeptał Robert blady ze wzruszenia!

A ja zamurowałem główne wejście — zawołał Ralf Pitcher z gestem rozpaczy.

W milczeniu wszyscy trzej zabrali się natychmiast do roboty; raniąc się dotkliwie o ostre kanty kamienia, próbowali odsunąć wielki blok; duże krople potu wystąpiły na czoło Pitchera, a palce jego ociekały krwią.

— Jakże nieszczęśliwą myśl miałeś, mój przyjacielu! — rzekł pomimowoli Robert Darvel.

Pitcher nie odpowiedział; z zaciekłością i uporem usiłował stworzyć sobie przejście w nagromadzeniu ostrych kamieni. Z nadzwyczajną siłą, spotęgowaną gorączką i przerażeniem, odwalał olbrzymie skały, nie zwracając uwagi na pokaleczone do łokci ręce.

Nie długo przy pomocy Robert wyrobił otwór dostateczny dla przejścia człowieka. Chmura czarnego dymu wybuchnęła z niego, oślepiając pracujących.

Pitcher bez namysłu wsunął już głowę w otwór, kiedy powstrzymał go Robert:

— Chcę sam wyratować moją narzeczoną! — zawołał ostro — Ustąp mi miejsca, Ralfie!

I zanim przyrodnik mógł temu zapobiedz, młody inżynier wsunął się w ciemny otwór.

— Idzie na śmierć pewną! — mruknął z niezadowoleniem Pitcher — Jest zmęczony i osłabiony jeszcze przebytą chorobą. Byłoby o wiele logiczniejsze, gdybym ja się narażał na to niebezpieczeństwo.

Ale mówiąc to, podążył za Robertem.

Zaruk nie czuł się na siłach iść za nimi w to gorejące piekło; pozostał przy wejściu, pracując dzielnie nad powiększeniem otworu.

Upłynęło kilka minut; z podziemia buchały ciągle kłęby gorącego dymu, rozgrzanego snopami drobnych iskier, a dwaj przyjaciele nie ukazali się.

Tym razem przywiązanie przezwyciężyło lęk Zaruka, nie namyślając się długo, rzucił się naprzód. Uszedł zaledwie kilka kroków w ciemnościach, gdy natknął się na Roberta.

— Prędko — szepnął inżynier gasnącym głosem — nioseę miss Albertę, bierz ją i ratuj, bo mnie już sił brakło!

Murzyn pochwycił w silnie ramiona bezwładne ciało młodej dziewczyny, uniósł ją na powietrze i położył na trawie, poczem powrócił szukać Roberta.

Odnalazł go z wielkim trudem; przez tą krótką chwilę inżynier osłabł zupełnie i zemdlał. Zaruk porwał go na ręce jak dziecko i umieścił na trawie obok miss Alberty.

Na szczęście młody inżynier szybko odzyskał przytomność, orzeźwiony świeżem powietrzem.

— Alberta uratowana! — zawołał, otworzywszy oczy, poczem niespokojnie rozejrzał się wokoło, szukając przyjaciela.

— A Pitcher? Gdzie jest Pitcher?

— Obecny! — odpowiedział głos zachrypnięty i zmieniony do niepoznania.

I Ralf, cały okopcony dymem, jednym skokiem wypadł z zadymionego otworu, kaszląc i kichając zawzięcie.

— Czy żyje? — zapytał ze wzruszeniem, pochylając się nad ciałem miss Alberty.

— Żyje! — odpowiedział Robert, wpatrzony w bladą twarz młodej dziewczyny — oddycha, ale tak słabo!

— Musimy ją natychmiast przenieść do źródła, gdzie się już znajduje twój brat. Ona tu pozostać nie może! Skropię jej twarz zimną wodą, zanim ktoś z was pobiegnie do willi po nosze i ratunek.

Pitcher po chwili uniósł z ziemi miss Albertę i zaczął z nią iść szybko w kierunku źródła.

Ale nagle zatrzymał się, jak człowiek, który zapomniał załatwić rzecz wielkiej wagi i zwrócił się do idącego za nim murzyna.

— Zaruk, mój przyjacielu — rzekł ze zwykłym swoim spokojem — zrobisz mi tę przyjemność i pozostaniesz tutaj. Nie oddalisz się od ruin, aż otwór zostanie hermetycznie i mocno zamknięty, rozumiesz? Musisz to wykonać, jeżeli nie pragniesz na przyszłość być niepokojony przez Wampirów.

Zaruk nie dał sobie dwa razy powtórzyć tego samego rozkazu; zabrał się do roboty z energią, podsycaną nadzieją, że uda mu się zamknąć znienawidzone potwory w ich schronisku i uwolnić się od nich na zawsze. A czas był już wielki, bo biedny murzyn lękał się oszaleć pod wpływem przerażenia dręczącego go od tygodnia.

Gdy Robert z Ralfem Pitcherem, niosącym miss Albertę, przybyli do źródła, z przyjemnością zauważyli, że Jerzy ocknął się już prawie całkiem z otrzymanej rany. Stał wsparty o drzewo i bandażował sobie zranioną rękę chustką od nosa.

(Dokończenie nastąpi)



Polska szkoła podchorążych: Przyszli oficerowie Legionu na ćwiczeniach w Jabłonkowie.

Polska Szkoła podchorążych.

Dwa miesiące trwa już pierwszy kurs w polskiej Szkole podchorążych, założonej przy Legionie i zbliża się do końca.

Za dni kilka, kilkanaście najwyżej, wyjdą w pole pierwsi w szkole tej wychowani oficerowie polscy — by ponieść do pułków, którym przydzieleni zostaną, tę wiedzę, którą tam nabyli, by ponieść tego ducha wojskowego, który jak najściślej szkołę całą przeniknął, stwarzając z niej pierwszorzędny, celowo dla potrzeb wojny zorganizowany zakład wojskowo-wychowawczy.

Głośno było dwa miesiące temu o Szkole podchorążych w prasie krakowskiej... Mówiły o niej komunikaty, wzmiankowały notatki kronikarskie. Podchorążowie byli znanem i sympatycznie w mieście witanem zjawiskiem.

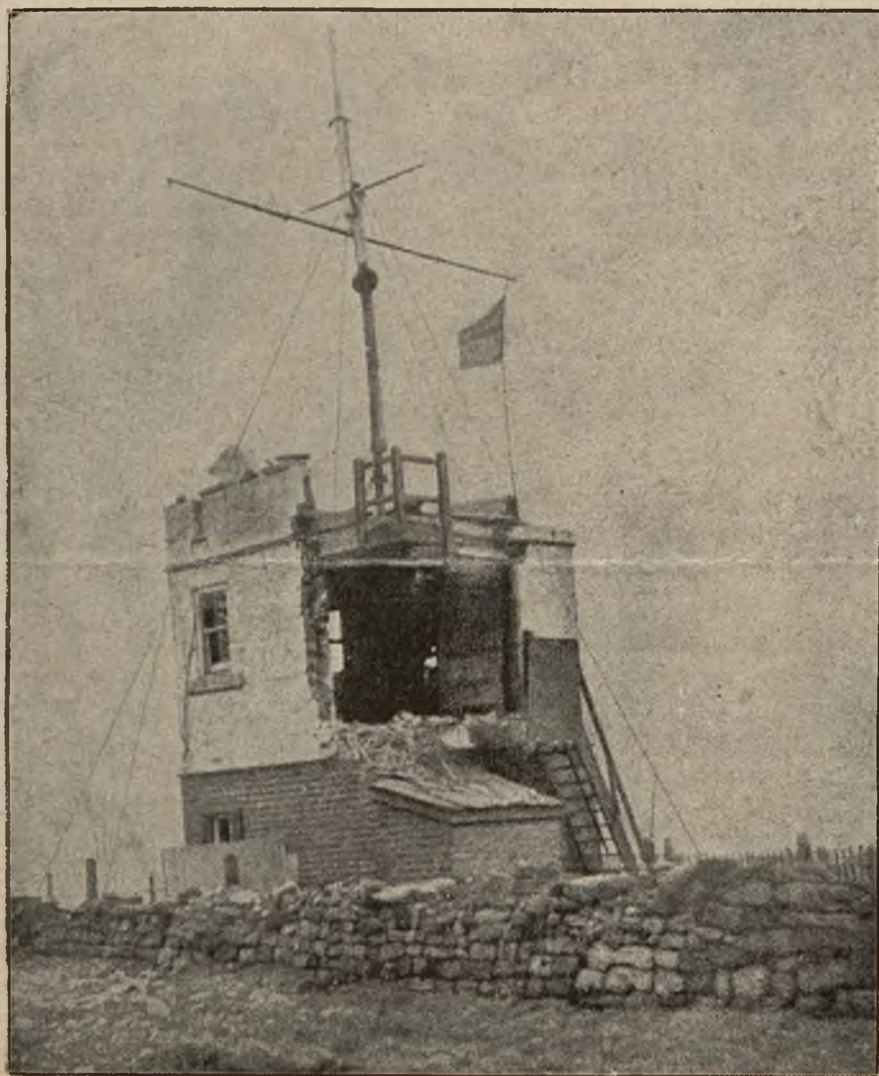
Niedługo jednak to trwało. Wypadki wojenne, konieczność opróżnienia twierdzy, potrzeba znalezienia miejsca w danych warunkach dla nauki najodpowiedniejszego — wszystko to sprawiło, że szkoła, ledwie gdy tydzień od otwarcia jej minął, musiała Kraków opuścić i szukać miejsca dla siebie aż na Śląsku, w Jabłonkowie, tuż nad węgierską granicą.

Ale i tu nie danem było, by kurs mógł dobiegnąć końca. Idąc „szlakiem Legionów“, oparła się wreszcie aż o Marmarosz Sziget, gdzie potrwa wreszcie — jak się zdaje — tak długo, by zadanie jej mogło być spełnionem, by z niej do pułków mogli odejść młodzi, pełni zapału oficerowie... Stanie się to za dni kilka...

Zanim to nastąpi i nim będzie można zestawić całokształt działalności i rezultaty Szkoły, godzi się już obecnie opisać warunki, w jakich ta Szkoła pracowała, jak się w niej surowy „cywilny“ materyał przekuwał na rycerzy, na brać żołnierską z sił całych chętną, by godnie stanąć w jednym rzędzie z poprzednikami swymi.

Program zajęć w Szkole odbywał się według następującego planu:

Rano o godzinie 6 pobudka, o trzy kwadranse na 7 gimnastyka, o kwadrans na 8 śniadanie, o 8 zbiórka i wymarsz w pole, o 10 raport szkolny i kompanijny, o 12 koniec ćwiczeń, o wpół do 1

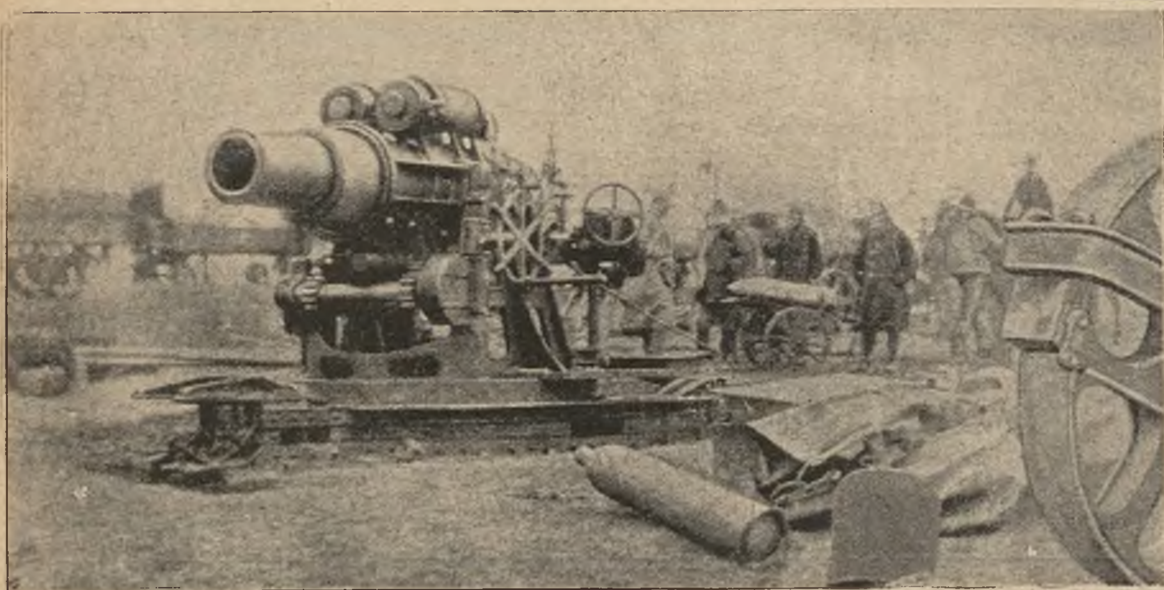


Stacya sygnałowa w Whitby, zburzona przez artyleryę niemiecką

Z teatru wojny:



Wieża w Scarborough, pr[illegible] niemieckim



Nasza ciężka artylerya: Austryacki moździerz $30^1/_2$ centimetrowy

obiad — prosty, żołnierski, smaczny. Do godziny 2 wypoczynek, poczem znów ćwiczenia do wpół do 5. Od 5 do 7 wykłady, po których rozkaz dzienny i kolacya. O godz. 9 wieczorem cała szkoła udawała się na spoczynek, rzetelnie zazwyczaj zasłużony.

Program zajęć, jak widać, pracowity i starannie ułożony. Zasługa to pułkownika, komendanta szkoły, czuwającego pilnie, by wychowanie przyszłych oficerów odbywało się ściśle według obmyślonego z góry planu, w którym niczego zmienić, do którego niczego dodać nie można. Że plan ten zatwierdziły władze wyższe, nie ulega wątpliwości, że był doskonałym, pokazują skutki. Przenikała go myśl jedna: dyscyplina surowa, żołnierska dyscyplina, bez której jakiejkolwiek armii pomyśleć sobie nie można.

W tych warunkach praca w Szkole szła harmonijnie i ochoczo. Musztra codzienna pod kierunkiem instruktora podpor. Graeffnera nie sprawiała przykrości, choć i w śniegu trzeba było brodzić po kolana, a tyralierskie „padnij!“ nieraz w błocie uczynić. Wykłady odbywały się w szybkiem tempie, rozszerzając zakres wiedzy wojskowej przyszłych oficerów Legionu. Chorąży dr. Gutek wykładał balistykę; kadet dr. Weigner terenoznawstwo, podpor. Elsenberg Regulamin służby polowej i Instrukcyę techniczną — tak, że w przeciągu dwóch miesięcy prawie wyczerpano cały program wykładów...

Nasza ciężka artylerya.

„Gruba Berta“ zawróciła w dzisiejszych czasach głowę całemu światu, to imię mają ciągle na ustach nie tylko wojskowi, dyplomaci i zawodowi politycy, ale nawet tacy ludzie, którzy znani są z nieprzyjaźni, jaką stale darzą wszystkie istoty, mające to nieszczęście, iż nie urodziły się mężczyznami.

Ale, bo też owa „gruba Berta“ to nie kobieta, ale ciężki czterdziesto-dwu-centimetrowy moździerz niemiecki, który taką niespodziankę sprawił francuskiemu sztabowi jeneralnemu. Sąsiedzi, którzy bardzo dokładnie byli poinformowani o stanie armii niemieckiej i jej uzbrojeniu, o nowych ciężkich działach nic nie wiedzieli, dowiedzieli się zaś o nich dopiero wtedy, gdy fortece belgijskie zaczęły pod działaniem ich ognia padać jedna po drugiej, niczem domki z kart, lub budki drewniane. Nie ostał się przed niemi ani beton, ani żelazo, każdy pocisk wyrywał w ziemi formalne przepaście i uśmiercał setki ludzi.

Wogóle obecna wojna przyniosła nam cały szereg niespodzianek, bo również niespodzianką były dla naszych wrogów austryackie baterye motorowe, złożone z moździerzy o kalibrze trzydziesto i pół centimetrowym. Nazwano je humorystycznie „grubymi wujkami“ lub „niszczycielami Moskali“.

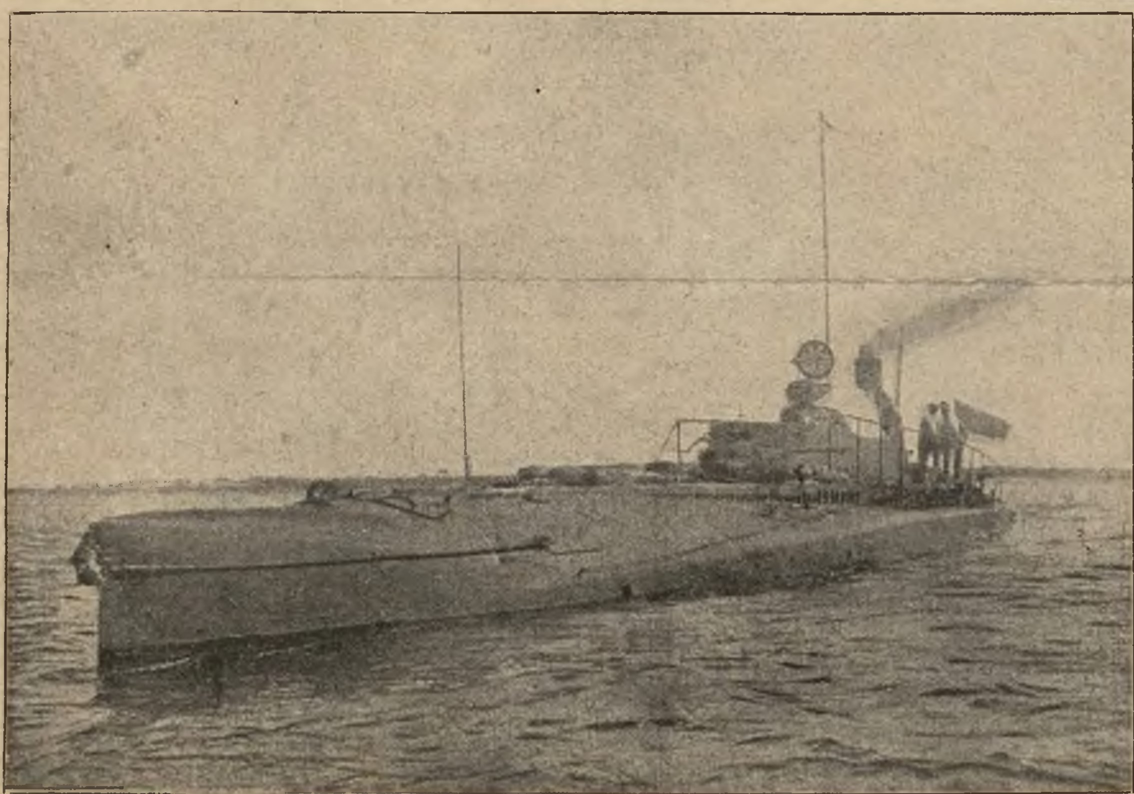
Dobrana ta para, „gruba Berta“ wraz z „grubym wujkiem“, wprawiła w podziw cały świat, była bowiem ostatnim wyrazem tego, co może zdziałać technika, zostająca na służbie wojskowości.

Nasze baterye motorowe pochodzą z warsztatów pilzneńskiej fabryki akcyjnej Skody, przyniosły też przemysłowi austryackiemu niemałą chlubę. W dowód uznania nadał cesarz jeneralnemu dyrektorowi zakładów, Karolowi Skodzie, tytuł baronowski, udzielił też różnych odznaczeń i innym współpracownikom fabryki, którzy zajęci byli przy wyrobie owych dział, tak wsławionych „gościnnymi występami“ pod Maubeuge i Antwerpią w Belgii, a następnie na wschodnim terenie walki.



Nasza ciężka artylerya: Austryacka baterya ciężkich haubic na pozycyi we wsi serbskiej

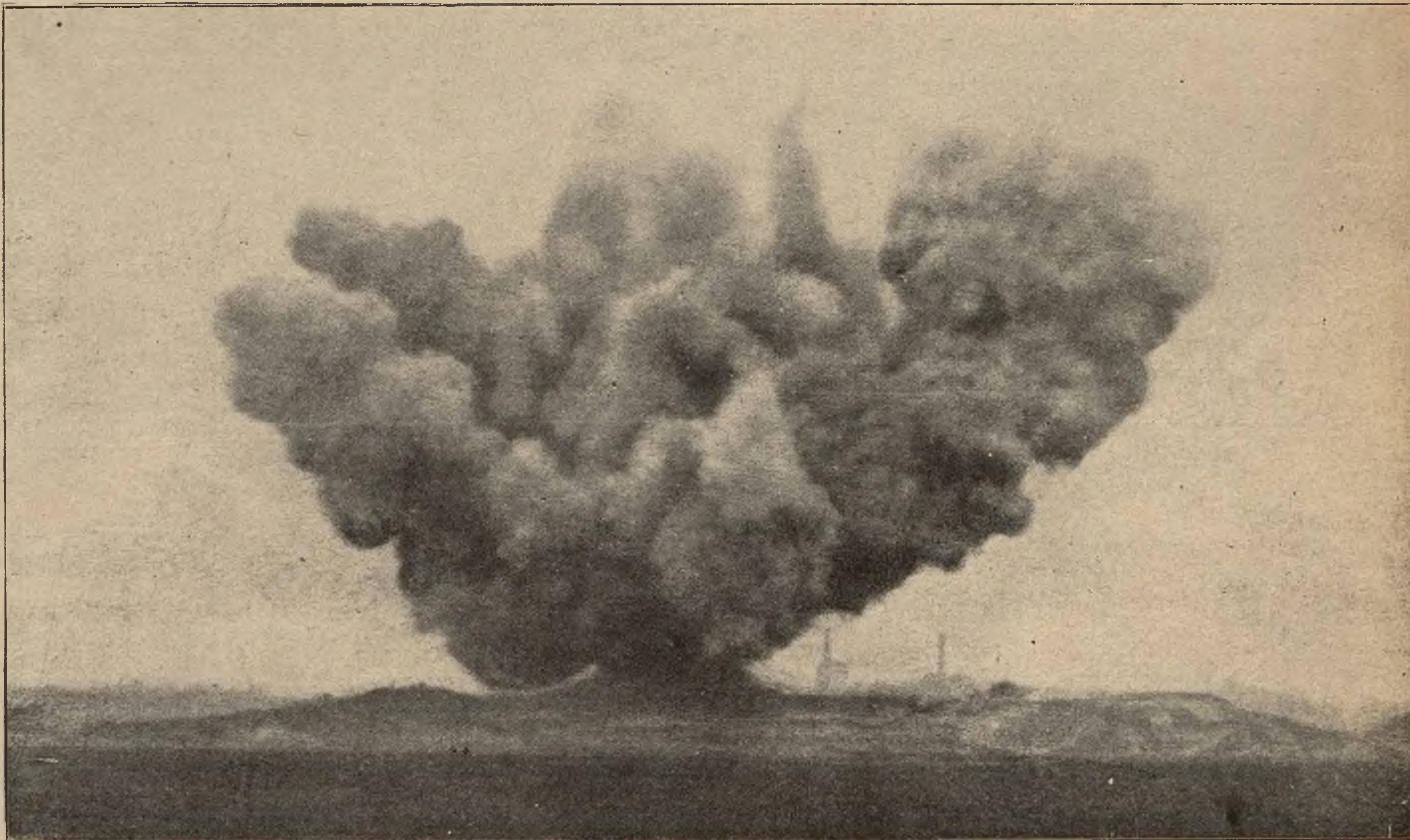
Jak niszczącem jest ich działanie, pozna każdy Czytelnik z zamieszczonej w niniejszym numerze illustracyi, przedstawiającej chwilę po eksplozyi granatu, wyrzuconego z takiego trzydziestocentimetrowego moździerza, przewożonego na samochodzie, celem tem łatwiejszego transportu.



Z walk na morzu Adryatyckiem: Francuska łódź podwodna „Curie“ zatopiona przez austryackie baterye.



Z teatru wojny: Kościół w Proszowicach (w Kieleckiem) uszkodzony strzałami armatnimi. Pod ścianą widać krzyż, strącony pociskiem



Nasza ciężka artylerya: Wybuch granatu, wyrzuconego przez austryacki 30½ centimetrowy moździerz.

Zwłaszcza na zachodzie, gdzie drogi są doskonałe, „gruby wujek“ był w swym żywiole, wschodni teren walki, szczególnie w czasie obecnej bezmroźnej zimy, mniej mu przypada do gustu, lecz i tu dał się już nieraz najeźdźcom we znaki. Zyskał sobie też zasłużoną nazwę „niszczyciela Moskali“, którzy drżą na samo o nim wspomnienie i, rzecz prosta, w bliższą z nim znajomość wcale wchodzić nie pragną.

Prócz owych bateryi motorowych okazały w toczącej się obecnie walce swą znakomitą sprawność i inne ciężkie działa austryackiej artyleryi, która dowiodła, iż nie straciła nic ze swej dawnej sławy, owszem, zyskała nowe laury, zupełnie zasłużone.

Z teatru wojny: Zbombardowany dom w Hartlepool.



Z teatru wojny: Wojska niemieckie w Łodzi.

Swieżym tego dowodem zatopienie francuskiej łodzi podwodnej „Curie“. Zjawiła się ona niespodzianie w dniu 23 grudnia na wodach modrej Adryi, rzecz prosta nie w przyjaznym celu, zanim jednak mogła przystąpić do działania, spostrzeżona wcześnie, poszła na dno trafiona kilku pociskami z nadbrzeżnych bateryi i statków strażniczych.

Jest to dla Francuzów strata bardzo poważna, łódź ta bowiem wybudowana w roku 1912 należy do najnowszego typu podwodnych łodzi. Chyżość jej na powierzchni wody wynosi dwanaście do trzynastu mil morskich, po zanurzeniu zmniejsza się na ośm, do dziewięciu. Długość jej przechodzi pięćdziesiąt metrów, szerokość pięć, pod powierzchnię wody opuścić się może do trzech metrów w głąb. Załogę stanowi dwudziestu czterech ludzi.

Uratowano ją w całości wraz z komendantem, drugi tylko oficer zniknął w niewiadomy sposób.

Z afrykańskiego terenu walki.

Wojna między trójprzymierzem, a trójporozumieniem przenosi się zwolna z Europy i na inne części świata. Rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie Francuzi i Anglicy, atakując Niemców w ich zamorskich posiadłościach, tą samą miarką odpłacili im Niemcy.

Sytuacya zaostrzyła się z chwilą, gdy do walki przeciw trójporozumieniu zerwała się i Turcya, ogłaszając słynną fetwę, zapowiadającą świętą wojnę



Z afrykańskiego terenu walki: Atak angielskiej kolonialnej piechoty na wojska tureckie w Egipcie

Z walk na morzu Adryatyckiem.

Austryacka flota wojenna, która ongiś, w czasie kampanii włoskiej tak zaszczytnie odznaczyła się, niszcząc daleko silniejszą od siebie flotę włoską w morderczej bitwie pod Lissą, była ciągle głównym celem troskliwości naszego zarządu wojskowego, starającego się zaopatrzyć ją w to wszystko, co tylko na tem polu nowego powstało.

Mamy więc i dreadnoughty, mamy łodzie podwodne, krążowniki i torpedowce, marynarka przecież austryacka nie jest liczebnie tak silną, by mogła na otwartem morzu stawić skutecznie czoło flocie angielskiej lub francuskiej. Oba te państwa, jako prowadzące politykę kolonialną na wielką skalę, główny nacisk, nieraz ze szkodą armii lądowej, kłaść muszą na flotę, by w ten sposób zapewnić sobie przewagę na morzu i módz równocześnie operować skutecznie na różnych wodach.

U siebie jednak, na morzu Adryatyckiem, marynarka austryacka czuje się panią, nieraz też dała się już porządnie we znaki sprzymierzonym flotom nieprzyjacielskim, które tylko ukradkiem, pod osłoną mgły lub nocy, odważają się na zbliżenie do wybrzeży austro-węgierskich, pewne, że czeka ich tu bardzo „gorące“ przyjęcie.

Dotąd właściwie na morzu otwartem okręty nasze nie miały jeszcze sposobności zmierzyć się z angielskimi. Francuzi przecież mogą już coś powie[illegible] o sprawności naszej marynarki i niszczącem [illegible]



Z afrykańskiego terenu walki: Jeńcy francuscy mahometańskiego wyznania, odesłani z Niemiec do Konstantynopola, gdzie wstąpili do armii tureckiej.

przeciw odwiecznemu gnębicielowi Islamu, Anglii, Rosyi i Francyi.

Z Damaszku wyruszyła armia turecka pod rozkazami Dżemala baszy, mająca za zadanie wypędzenie Anglików z Egiptu i opanowanie kanału Suezkiego, by w ten sposób przeszkodzić im w swobodnym transporcie wojsk z Indyi i uniemożliwić przedarcie się tędy floty japońskiej, gdyby jej sprzymierzeńcom źle się wiodło.

Ludność mahometańska Egiptu przyjęła wojska sułtana bardzo serdecznie, protektorat angielski dał



Czy ocalał? Uschnięty dąb we wsi Wróblowicach pod Stanisławowem z urządzoną wewnątrz kapliczką.

się jej już aż nadto we znaki. Anglicy rządzili nad Nilem, nie robiąc sobie nic z władz miejscowych, dawno już kraj ten uważa się w Londynie jako prowincyę wielko-brytańską. Kedyw był tylko cierpiany, protektorat sułtański nad krajem ograniczał się do pobierania haraczu.

Obecnie Anglicy postanowili załatwić się z Egiptem. Niewygodnego kedywa, który sprzyjał trójprzymierzu, zdetronizowano, mianując jego następcą osobistość zupełnie sobie oddaną, zniesiono też protektorat sułtański nad krajem.

Anglicy nie czują się jednak zbyt pewnymi na egipskim gruncie. Swych sił wojskowych mają niewiele, wojsku sprowadzonemu z Indyi, między którem jest sporo muzułmanów, nie dowierzają, ludność miejscowa odnosi się do nich wprost wrogo i nie kryje się bynajmniej ze sympatyami względem sułtana. Wytężają więc wszystkie siły, by nie stracić tak ważnej pozycyi.

Powinniśmy spodziewać się różnych niespodzianek, które dla Anglików mogą mieć fatalne skutki.

Lecz nie tylko Egipt bierze czynny udział w obecnej wojnie. W szeregach armii francuskiej walczy wielu mahometan z jej północno-afrykańskich kolonii, którzy, pamiętając o ogłoszeniu przez sułtana świętej wojny, tylko bardzo niechętnie, ulegając konieczności, chwycili za broń, zmuszeni do walki na rzecz trójporozumienia.

Chcąc im okazać swą sympatyę, polecił cesarz Wilhelm, aby wszystkich jeńców francuskich wyznania mahometańskiego, którzy dostali się do niewoli niemieckiej, uwolniono i odesłano do Konstantynopola. Tam wstąpili oni do armii tureckiej i teraz, już z przekonania, chwycili za broń, by pomścić krzywdy na swych ciemięzcach, za jakich uważają przedewszystkiem Francyę, a z nią razem i inne mocarstwa trójporozumienia.



Opieka nad rannymi w Rosyi: Cesarzowa rosyjska (X) i dwie córki, Tatjana i Olga, jako pielęgniarki.

Czy ocalał?

Wojna jak huragan przeszła przez ziemię polską... Pozostały po niej zgliszcza i ruiny. Współczesna bitwa sieje śmierć i zniszczenie nie tylko w szeregach żołnierskich, ale skazuje na zagładę wszystko, co stoi na jej drodze, wsie, lasy, drzewa. Wiele to pamiątek, wiele starych budowli i starych drzew, które oparły się wiekom, padło w tej pożodze wojennej!

W dzisiejszym numerze reprodukujemy ciekawy okaz dębu niedaleko Wróblowic pod Stanisławowem. Ma on objętości dziewięć metrów a w korzeniu liczy szesnaście kroków w obwodzie.

Z dębu tego skutkiem pożaru pozostał tylko pień, w którym staraniem hr. Tarnowskiej urządzono kapliczkę. Wewnątrz znajduje się tablica z napisem następującej treści: „Wieki stałem, opierając się mężnie wichrom, nawalnicom i huraganom, aż wreszcie 8 września 1901 r. przez żywioł ognia straciłem swą starą koronę“.

Dziś dąb ten, zamieniony na kapliczkę, znalazł się na terenie, zajętym przez nieprzyjaciela... Nie wiadomo też, czy i tej burzy wojennej oparł się i ocalał.



Opieka nad rannymi w Rosyi: Rosyjski szpital polowy Czerwonego Krzyża.

JÓZEF LASOŃ.

A KIEDY WYBIŁA GODZINA!...

(Ze wspomnień Legionisty).

I.

„Dnia 1 sierpnia o godzinie 6-tej wieczór stawią się wszyscy obywatele na zbiórkę! Należy przygotować się do wymarszu, według poniżej załączonego rozkazu!“

Komendant okręgu *Herwin.*“

Taki rozkaz wywieszono na tablicy dyżurnej właśnie w chwili, gdym do lokalu strzeleckiego wchodził. Przed tablicą ruch wielki, obywatele cisną się jak pszczoły do ula, czytają i wierzyć im się wprost nie chce. Radość pochwyciła nas wielka. Zamieszanie, krzyki, sprzeczki, szept taki tęskny, dawno upragniony:

— Hej! hej! Na Moskala idziemy! Hej! hej! na bój!

Nagle z serc przepojonych radością wyrwał się śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła“, rozbrzmiał się, w potężny okrzyk zamienił. „Nie zginęła! Nie zginęła!“ A oczy zabłysły, policzki zczerwieniały, w niektórych oczach łza się wielka ukazała, jakby dyament wielki i mieniąc się upadła na posadzkę.

I jako bracia rzuciliśmy się w objęcia, całując się, przebaczając wzajemnie dawne urazy. I jeden drugiego pytał:

— Ty idziesz?

— A tyś myślał?!

— Choryś był przecież?

— Alem wyzdrowiał!

— Ty masz rodzinę bez opieki! Idziesz?

— Wola Boska, nie zginie!...

Przed szóstą godziną zastępca komendenta, Szaleniec, przeprowadził zbiórkę. Stanęliśmy w plutonach, szczęśliwi, weseli, jak gdyby to przed rokiem było, kiedy się na ćwiczenia szło pod Tyniec, albo pod Liszki. Plutonowi przeprowadzili apel, komendant Herwin stanął przed frontem, wzrokiem nas mierzył, badał. Jasne jego oczy, o spojrzeniu stalowem z żołnierza na żołnierza szło, wtłaczało się w duszę, wżerało w serca. Zacny to był i dzielny człowiek. Po przeprowadzonym apelu, zakomenderował „Spocznij“, podniósł swą hardą głowę do góry, przemówił:

— Obywatele! Żołnierze polscy! Pięćdziesiąt lat przeszło już temu, kiedy ostatni raz Europa słyszała słowa: „Żołnierz polski!“ Po tylu latach niewoli znowu z dumą, z radością wielką, nazwać Was mogę, bracia moi, drodzy obywatele, żołnierzami polskimi! Cóż może być dla nas, dla Polaków więcej radosnem, jak nazwanie się polskim żołnierzem, cóż więcej zaszczytnem, jak śmierć na polu chwały, za Polskę, za Ojczyznę naszą! Dlatego witam Was bracia, a z powitaniem radosną wieść niosę! Za kilka dni na bój pójdziemy, na porachunki z caratem, na krwawy bój!...

— Hurra! Niech żyje komendant Herwin!...

— Baczność! — zakomenderował ostro.

Stanęliśmy jak wryci. Cisza grobowa zapanowała, Herwin głowę pochylił ku ziemi, namyślał się nad tem, co ma powiedzieć, rozważał coś w duszy.

I mówił nam o tem, jak ojcowie nasi umierali, zapalał serca opisami walk przyszłych, opowiadał o trudach, jakie przebyć nam przyjdzie, na jaki idziem los, na jakie trudy. Wkońcu rzekł:

— Z rozkazu jednak wyższego nie ja Was prowadzić będę. Oto komendę oddaję w ręce Szaleńca, a ja dziś żegnać Was przyszedłem.

— Komendancie! Ty nas prowadź! Pójdziem z Tobą! — rozległy się głosy.

Potrząsnął jasną głową, spojrzał w szeregi.

— Chcemy iść z Tobą komendancie! — rozległy się krzyki.

— Baczność! — zakomenderował szorstko, chcąc ukryć zabłąkaną gdzieś w oczach łzę. — Wydałem rozkaz i trzeba się do niego zastosować! Teraz Was żegnam, komendę obejmuje obywatel Szaleniec.

Podszedł do szeregów, uścisnął każdemu żołnierzowi serdecznie dłoń, wychodząc z sali krzyknął:

— Chłopcy! Spotkamy się w Warszawie!

— Hurra! Niech żyje porucznik Herwin!

— A bić dobrze Moskali! — dorzucił.

Jeszcze raz spojrzał na żołnierzy, z którymi się zżył, zbratał, spojrzał na plutonowych, kiwnął ręką na pożegnanie.

Smutno nam się zrobiło, że jeszcze nie dziś wyruszamy, pewni byliśmy, że z Herwinem pójdziemy, z pierwszemi kompaniami kadrowemi.

Szaleniec odczytał rozkaz na następny dzień, ćwiczenia były skończone. Do późnej nocy rozprawialiśmy o dniu, w którym wyruszymy, snuliśmy fantazyjne obrazy na przyszłość. A niejeden, w ten wieczór, zasypiając w domu pod wygodną pościelą, westchnął głęboko:

— O bodajby to już jutro rozkaz przyszedł!

* * *

I płynąć poczęły godziny, dni pełne gorączkowej pracy i przygotowań. Zakupione stare tornistry z magazynów wojskowych na gwałt poczęto przerabiać, naprawiać, sztukować. Zamożniejsi pokupowali mundury, pasy, buty, sztylpy, a nawet i niektórzy płaszcze mieli. Ubożsi tylko czapkę strzelecką nasunęli na głowę, kołnierz od surduta podciągnęli i pocieszali się wzajem, że zupełnie już do żołnierzy podobni są, gdyż czapka — to grunt.

Na ścianie w kancelaryi „Strzelca“ wisiał karabin systemu Manlichera 95 model. Co który przesunął się koło niego, łakomie nań spojrzał, myśląc w duszy:

— Któż go dostanie?

Był to bowiem jedyny karabin systemu Manlichera, któryśmy posiadali. Służył nam do nauki, a teraz ktoś go dostanie do noszenia. Ale kto? Któż będzie tym szczęśliwcem? Tak się wszyscy kręcili koło niego, zalecali przytem komendantowi, aby o nich pamiętał.

W koszarach tymczasem, jak w ulu. Grupkami starsi żołnierze ćwiczą rekrutów, tam znowu, w drugiej sali, wykład o karabinie Manlichera i o celowaniu.

Plutonowy Kruk*) komenderuje, głos jego brzmi szorstko, a jednak coś, jakby rozczulenie w głosie czuć, jakby radość wielką i szczęście.

W kancelaryi roi się od rekrutów. Na rozkaz komendanta usiadłem przy biurku, przyjmuję rekrutów.

— Nazwisko wasze? — pytam pierwszego z kraja, studencika, z jednym złotym paskiem, niskiego wzrostu, szczupłej budowy ciała.

— Goldstein Jakób.

— Zawód?

— Student, a obecnie rekrut!

— No jeszcze niewiadomo — odparłem — czy rekrut. Nie wiem, czy was komendant przyjmie. Za słabi jesteście. Wiele macie lat?

— Urodziłem się... zaraz... — począł się jąkać. — Mam... zaraz... skończone siedmnaście lat.

Spojrzałem mu w oczy. Zczerwieniał, zmieszał się. Kłamie — pomyślałem — ale cóż poradzić! Przyda się i on, wyrośnie, trudy rozwiną go fizycznie.

— Rodzice wam pozwolili? — spytałem po chwili, patrząc mu bystro w oczy.

— A jakże! A jakże! Pozwolili — wyszeptał.

— Bo wiecie zapewne, o co rzecz idzie? — zacząłem. — To nie jest zabawka, ani ćwiczenia jakieś! Musicie dobrze rozważyć, gdyż z chwilą podpisania deklaracyi wszystko już przepadło. Już wtedy żołnierzem jesteście. Na wojnę trzeba iść! Trud wielki, piersi trzeba zdrowe i silne mieć, nogi wytrzymałe!

— Ja przyzwyczajony — odparł. — Trzy lata w skaucie ćwiczyłem!...

Przedstawiłem go komendantowi. O obowiązkach mu wspomniał, o trudach, o znoju, potem deklaracyę podpisać dał, uważnie mu przeczytawszy. Skierowałem wzrok na Goldsteina w chwili, kiedy pióro ujmował. Ręka mu drżała, jak w febrze, ogień na policzkach zapłonął. Skłonił się potem głęboko komendantowi i rozpromieniony stanął w szeregu rekruckim.

Zawołałem drugiego z rzędu. Znałem go z dawien dawna. Stary towarzysz partyjny, Królewiak. Podałem mu rękę:

— Jak się macie? — spytałem.

— Bogu dzięki, zdrowo! — odparł.

— Wy także do „Strzelca“!? — siadając za biurkiem, spytałem.

— Albom to nie żołnierz, czy co? Kampanię mandżurską przeszedłem, Japonów waliłem i teraz bym nie szedł walić moich kolegów-Moskali! — zaśmiał się, wąsa podkręcił siwiejącego.

„Jan Rolski, lat 47, poddany rosyjski“, wciągnąłem w listę.

I szli za nim dalsi. Jasne główki gimnazyalistów, terminatorów rękodzielniczych, czeladników.

Zmęczony po kilku godzinnej pracy, wstałem od biurka, aby rozprostować przygarbione plecy i spojrzałem po sali.

*) Tadeusz Kowalski oficer Legionu, padł pod Łowczówkiem dnia 23 grudnia 1914 roku.

— Oj! oj! — westchnąłem z radością. — Dużo jeszcze pracy na dziś! Pełna sala rekrutów!

Nagle zwrok mój padł na stojącego przy drzwiach małego chłopca, powalanego wapnem. W rękach niecierpliwie obracał podartym kapeluszem, oczy ku ziemi spuścił.

— Cóż ty tu chcesz? — spytałem, sądząc, że to posłaniec jakiś, lub zamówiony chłopak do posyłek.

— Ja... ja... proszę pana... przyszedłem — począł się jąkać płaczliwym głosem — chciałem wstąpić do „Strzelca“.

Roześmiałem się mimowoli.

Spojrzał na mnie z wyrzutem wielkim w oczach, w których świecić poczęły łzy jakby dyamenty.

— Ty chcesz wstąpić do „Strzelca“? — spytałem łagodniej.

Rozumne oczy chłopca spojrzały na mnie, jakby chciały wybadać, co myślę o nim.

— Tak! Tak proszę pana!

— Słabyś! małyś! Ot, przypatrz się na ten karabin — odparłem mu, podnosząc Werndla w górę — Karabin większy od ciebie, jakże ty go nosić będziesz, jak strzelać będziesz?

— Uniosę! Udźwignę! — wyszeptał — Mam już trzynaście lat, przy murarzach ciężko pracuję, siłę mam, a na głód i nędzę przyzwyczajony jestem.

I wtedy poczęły mi łzy płynąć. Odwróciłem się ku oknu, aby niespostrzeżenie łzy stłumić, serce moje radością przepojone było.

Chwilę stałem, bezmyślnie patrząc w okno. Zwróciłem po chwili głowę w stronę chłopka. Jak posąg kamienny stał, w oczy mi patrzył, decyzyi przychylnej czekając.

— Młodyś! małyś! — wyszeptałem wzuszony — Poczekaj, pomówię z komendantem. Albo jutro przyjdź. Do służby lokalnej cię może przyjmie! Do posług będziesz dobry. Przyjdź jutro!...

Zaświeciły oczy chłopcu radością, rozjaśnił się jak gwiazdy na niebie, twarz rozpromieniła się, jakby promieniami słońca ozłocona!

— Przyjdę jutro — wyszeptał, skłonił się i cofnął ku drzwiom kancelaryi.

I przychodziły do mnie przez te kilka dni urzędowania przy asenterunku, jasne główki chłopiąt, prosząc się, aby mogli zostać polskimi żołnierzami.

Chłopięta te wyryły w sercu mojem tablicę, na której są zgłoski: „Nie zginęła i nie zginie!“ I jeżelim kiedy płakał ze szczęścia — to jeden tylko dzień w mojem życiu był — dzień ów.

* * *

Kilka dni upłynęło, aż szóstego sierpnia ordynans przyniósł z komendy krakowskiej rozkaz. Rozpieczętował go Szaleniec, a gdy czytał, twarz mu zajaśniała.

Domyśliłem się... Był to rozkaz na któryśmy czekali, o którem wiedzieliśmy, że przyjdzie, ale nie wiadomo kiedy.

— Dyżurny! — zawołał komendant.

— Rozkaz?! — odparłem, stając przed komendantem.

— Kompania podgórska jutro wyrusza. Tu jest rozkaz: zebrać wszystkich strzelców dziś na szóstą godzinę. Jutro, to jest 7 sierpnia o godzinie dziewiątej rano wyruszamy. Teraz jest godzina trzecia po południu. Na szóstą zbiórkę zarządzić!

— Według rozkazu! — zasalutowałem, odbierając rozkaz komendy krakowskiej.

— Ja wychodzę do komendy głównej! — rzekł po chwili — Kruk moim zastępcą! O szóstej będę! Zbiórka ma być przeprowadzona!

— Według rozkazu.

Wyszedł z rozpromienioną twarzą. Po jego odejściu Kruk wyciągnął potężne ramiona, chwilę machał niemi w powietrzu, nagle pochwycił mnie, podrzucił do góry.

— Wiwat! Wiwat! — krzyczał jak zwaryowany.

Wydarłem się z objęć rozweselonego przyjaciela, gdyż przeczuwałem, że gotów mnie z radości udusić.

— Poczekaj Moskalu, ty pogańsko duszo! — zaryczał potężnym tenorem.

— Spiewaj! śpiewaj bracie! — krzyknąłem — a tu trzeba zbiórkę na szóstą godzinę przeprowadzić, strzelców trzeba zebrać.

— Już! już! Piorunem zrobimy.

Przepisał rozkaz z dodatkiem stawienia się wszystkich dziś o szóstej wieczorem i posłał ordynansów, aby uwiadomili obywateli o zbiórce.

Rozgadał się małomówny zwykle Kruk, rozpuścił język, jak kołowrotek, do słowa niedozwalając mi przyjść. To znów chodząc szybko po sali, słowa komendy tłumaczył, zwroty wycinał w lewo i w prawo.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wojenna idylla.

Nie ulega wątpliwości, że armia austryacko-węgierska jest najbardziej różnorodną pod względem narodowości.

Ogółem biorąc, w armii austro-węgierskiej służy 47% Słowian, a reszta rozdziela się w równych częściach na Niemców i Węgrów.

I pod względem wyznania armia austro-węgierska nie jest jednolita, składając się z katolików, prawosławnych, ewangielików, żydów i mahometan.



Wojenna idylla: Członek zakonu Braci Miłosierdzia zapala fajkę żołnierzowi-muzułmaninowi.

Te wszystkie różnice znikają jednak w szeregach, a przedstawiciele różnych narodowości i różnych wyznań, zgrupowani pod jednym sztandarem, walczą ramię przy ramieniu, pomagając sobie wzajemnie w ciężkich trudach wojennych.

Wymowną illustracyą tego braterstwa jest zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia. Widzimy tam zakonnika katolickiego (z zakonu Braci Miłosierdzia), który siedzi w idyllicznej harmonii z żołnierzem mahometańskim i zapala mu fajkę.



Z teatru wojny: Pospolitak niemiecki czyni zakupy w Łodzi.

Opieka nad rannymi w Rosyi.

Straszne jest żniwo współczesnej wojny... Jakkolwiek roztacza ona troskliwą opiekę nad rannymi, brak rąk i brak środków, aby można było ulżyć cierpieniom wszystkich ofiar morderczej walki... Ze wszystkich państw w najgorszem pod tym względem położeniu znajduje się niewątpliwie Rosya. Brak kolei przy olbrzymich przestrzeniach tego państwa nie pozwala na szybkie transportowanie rannych do stałych szpitali. To też rosyjskie szpitale polowe, znajdujące się w najbliższej odległości od linii bojowych, urządzone są w ten sposób, że mogą pomieścić rannych na czas dłuższy. Jeden z takich szpitali, pomieszczony w namiocie płóciennym, przedstawia nasza illustracya... Jest on urządzony wzorowo, lecz cóż z tego, gdy rannych na stałą kuracyę wysyłać trzeba do miast, odległych o setki kilometrów — do Moskwy i Petersburga! Wobec ciągłych transportów wojska, gromadzonego na linii bojowej, wysyłanie rannych napotyka na ciągłe przeszkody... To też giną oni w drodze tysiącami, a szczęśliwi są ci, których dowiozą na miejsce przeznaczenia... Tam dopiero mogą zaznać opieki, której nie szczędzą im panie z najwyższego towarzystwa rosyjskiego. Wśród pielęgniarek znajduje się nawet cesarzowa rosyjska z córkami, jak to przedstawia nasza druga illustracya.

Z krakowskich szpitali wojskowych.

Wojna, tocząca się obecnie na terenie galicyjskim i Królestwa Polskiego, porywa stosunkowo wiele ofiar w ludziach. Część ich odniosła mniej lub więcej ciężkie rany na polu walki, część zaś, i to bardzo poważna, uległa chorobom wewnętrznym, będącym następstwem niewygód życia obozowego.

Do kategoryi „wewnętrznych“ należy szpital Nr. 4, umieszczony w budynku seminaryum nauczycielskiego u zbiegu ulic Straszewskiego i Wolskiej.

Pozostaje on pod komendą dra Czaplickiego, znanego internisty, któremu dzielnie pomaga cały szereg należycie wyszkolonych pielęgniarek.

Warto zaś zaznaczyć, że obecnie służba samarytańska nie jest tak lekką, jakby się komu może zdawało. Pomijając już okoliczność, że każdy, kto pielęgnuje chorych, musi być przygotowany na bardzo ciężką pracę, nieraz i niewdzięczną, pamiętać ponadto trzeba, że każdej chwili narażony jest na zarażenie się jakąś słabością. Nic też dziwnego, że, celem uchronienia personalu szpitalnego od infekcyi, poddano wszystkich szczepieniu anticholerycznemu, antiospowemu, antityfusowemu i t. d.

Słusznie wyraziła się też jedna z pielęgniarek, że dziś każdy z zajętych opieką nad chorymi przypomina królika w zakładzie bakteryologicznym, którego poddano dla doświadczeń różnym szczepieniom.



Z teatru wojny: Epizod z walk na Kaukazie.

Kronika tygodniowa.

Taki jestem ciekawy wyniku spisu ludności miasta Krakowa wraz z gminami przyłączonemi, zarządzonego w sam dzień Trzech Króli przez magistrat na polecenie wojskowości, iż koniecznie chciałem wstrzymać się z kroniką aż do chwili, gdy będzie urzędowo ogłoszony. Możnaby na ten temat palnąć sobie jakąś impresyjkę (tytuł może być polski lub łaciński), a to teraz jest bardzo modne.

Niestety, nie doczekałem się, uledz musiałem wyższej sile (*vis major*), a tą jest nieubłagany pan metrampaż, który od poniedziałku rano prześladuje mnie zapytaniami:

— A co słychać z kroniką?...

— Jeszcze w kałamarzu! — odpowiadam stale, na co on, poważnie głową kiwając, dodaje:

— Ha! To w takim razie numer spóźnimy!

Rzecz prosta, że z tego właśnie powodu straciłem zupełnie humor, co, jak dla kronikarza, jest źle, straciłem także i apetyt, co znów jest wskazanem ze względu na nagromadzone zapasy, których nie wolno rozpoczynać bez specyalnego rozporządzenia.

Niema więc złego, aby na dobre nie wyszło! Ów spis ludności o tyle mnie interesuje, iż chciałbym koniecznie wiedzieć, ilu Kraków liczy obecnie mieszkańców, ilu w tem jest mężczyzn, ile zaś kobiet, jaki jest przyrost ludności z powodu urodzin, jaki ubytek z powodu śmierci. Twierdzą statystycy, że bez pomocy lekarskiej, ale z powodu polecenia władzy opuściło w tym czasie Kraków około sześćdziesiąt tysięcy, które rozprószyły się po całej monarchii, głównie zaś w Czechach, gdzie ich gościnnie przyjęły różne „Paki". Tych, którzy opuścili ten padół płaczu w „pace", dostarczonej przez pana Wolnego lub panią Horakową (znajomość z nimi zupełnie nie jest pożądana!... przyp. zecera), jest stosunkowo mniej, w każdym razie jednak więcej, niż po inne lata.

Słusznie zauważył jeden z naszych domorosłych humorystów, spuszczając „pod Obrazem" trzecią z kolei bombkę, że dziwnie łakomą jest śmierć. Na polu walki prowadzi ona interes *en gros*, nie kontentuje się tem jednak i zajmuje się swym procederem także i *en détail*, wyrywając z naszego grona poszczególne osobniki i dopomagając w ten sposób na swą rękę komisyi ewakuacyjnej.

(I znów znakomity temat dla impresyonisty! Mógłby zbabrać należycie zacną Kostusię za to jej niecne postępowanie!...)

Być może, że i mnie, po ogłoszeniu wyniku liczenia głów i półgłówków krakowskich, nasuną się jakieś poważniejsze refleksye, nie pominę też sposobności, by się niemi z Szan. Czytelnikami podzielić. Na razie uważam ten temat za wyczerpany.

Mam jednak w swym podręcznym notatniku tyle nagromadzonego materyału, który mógłby się nadać do opracowania przez bardziej odemnie natchnionych (takich, co to umieją grać na strunach duszy czułego Czytelnika... przyp. zecera), iż nie mogę tego przenieść po sobie, bym, bodaj pokrótce, o tem i owem nie wspomniał. Zastrzegam się, że praw autorskich sobie nie roszczę, kto ma ochotę, niech korzysta z podanych tematów i obrabia je, jak mu się podoba.

Najpierw więc obrazek rodzajowy. Nie może to być akwarela, widziałem go bowiem przy piwie!

W jednym z krakowskich lokali siedzi za stołem burmistrz pewnego galicyjskiego miasteczka, któremu udało się umknąć do naszego grodu przed rosyjską inwazyą. Obok gromada znajomych, którym opowiada z wrodzoną sobie swadą o tem, co widział i co w tym czasie przeżył, dodaje jednak od czasu do czasu także wzmianki o tem, czego nie widział i czego nie przeżył...

Wtem ktoś zawołał od sąsiedniego stołu:

— Władziu! Przynieś mi ze dwa moskale!...

Usłyszawszy te słowa, biedny burmistrz, „zbladł, jak kreda, oniemiał, niby słup soli"... i pierwszą jego czynnością było schowanie swych własnych nóg głęboko pod stołek.

Nie uszło to uwagi sąsiadów. Jeden z nich, widocznie śmielszej natury, zapytał:

— Zdaje mi się, że to słowo „moskal" działa dziwnie drażniąco na łaskawego pana!

— Naturalnie! — odpowiedział. — Słysząc je, przypomniałem sobie przejścia mego kolegi z Dobczyc, któremu, aż dwa razy zabrano buty i zostawiono go tylko w pantoflach!... A jak ta wówczas reprezentować gminę?... Co na to świat powie?... Burmistrz bez butów, choćby nawet z Dobczyc, to coś strasznego, o czem nawet myśleć się nie chce i nie może! To pogwałcenie naszej autonomii, o pomstę do nieba wołające!...

Zrozumiałem dobrze, bo i ja mam serce, ów nożny odruch pana burmistrza. Bał się biedak o swe buty, czemu się nie dziwię. Bez nich niewygodnie chodzić w lecie, a cóż dopiero w zimie!

Gdzież jednak nie spotkasz niedowiarka, który we wszystko wątpi, dla którego niema nic świętego?...

Znalazł się i tutaj, przy stole z piwem i, korzystając z ogólnego chwilowego milczenia, zabrał głos:

— Terefere! To blaga gazeciarska! Burmistrzowi z Dobczyc nie Moskale zabrali buty, ale schowała mu je jego stara, aby w domu siedział... Gdyby Moskale byli tacy łakomi na autonomiczne buty, byliby w pierwszym rzędzie zabrali je we Lwowie panu Rutowskiemu, a o tem nie stało przecież w żadnej gazecie! A czytam wszystkie!...

— A może właśnie zabrali mu, ale nie pozwolili o tem pisać? — ktoś drugi zauważył.

— Co też pan gada!... — odparł oburzony niedowiarek. — Buty prezydenta Lwowa to przecież zdobycz nielada, z pewnością nie byliby omieszkali tem się przed światem pochwalić!... A kto wie, może je już nawet przewieźli do Petrogradu i tam umieścili w którymś muzeum?... Zdaje mi się, że mi nawet ktoś o tem już opowiadał, nie pamiętam jednak, kto...

Proszę mi więc powiedzieć, czy nie jest to znakomity temat do impresyjki, dajmy na to pod tytułem: „Burmistrzowskie buty"?...

Na drugiem miejscu znalazłem w mym notesie uwagę o tańcu klasycznym i przypomniałem sobie zaraz, że to odnosi się do pewnej znanej tancerki, która na jakimś tam koncercie, czy też poranku muzycznym, miała odtańczyć, czy też odtańczyła nawet „Marsza pogrzebowego" Chopina.

Choreografem nie jestem, ongiś umiałem przecież tańczyć, ale tylko walca, mazura, polkę, kadryla, krakowiaka, by dać wyraz sympatyi dla braci Rusinów, puszczałem się nawet od czasu do czasu na kołomyjkę lub kozaka, choć w miarę lat z „prysiudami" szło coraz to gorzej. Nie mogę sobie przecież wyobrazić, jak może w tańcu wyglądać „Marsz pogrzebowy"...

Wyśmiał to moje zacofanie jeden z kolegów redakcyjnych i oświadczył mi z uśmiechem, w którym widziałem sporą dozę politowania dla mej ignorancyi:

— Kochany panie! Dziś świat idzie naprzód! Dziś wszystko można tańczyć!... Niech mi pan poda utwór, jaki pan chce, ja się go panu podejmuję oddać plastycznie w tańcu...

— Dobrze! — odparłem, a przypominając sobie niezapomnianą naszą ś. p. Lucynę Ćwierciakiewiczową i jej utwory, które *via* żołądek taki wpływ miały ongiś na nasze serce, dodałem — Może szanowny kolega spróbuje odtańczyć na przykład: cielęce nóżki ze szpinakiem, lub też flaczki po warszawsku...

Popatrzył na mnie, niczem piorun na żabę, zanim w nią ugodzi i wyszeptał coś pod nosem, co brzmiało bardzo podobnie jak: zacofaniec!

Proszę mi jednak powiedzieć, czy nie mam racyi?... Jeśli można wszystko odtańczyć, dlaczego miałyby być wyjątkiem z tej reguły tak popularne dzieła, jak: „Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów za pięć złotych"?

Niechaj jednak kto nie myśli, że za owe pięć złotych można było *de facto* zjeść aż trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów. Tak tanio wówczas nie było, każdy obiad kosztować miał mniej więcej pięć złotych.

Choć, prawdę mówiąc, i dziś jeszcze nie jest tak źle. Można żyć bardzo tanio i zjeść trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów nawet bez pięciu złotych, trzeba jednak być kawalerem i kochać się w jakiejś panience. Rodzice, chcąc się jej pozbyć z domu, będą cię zapraszać na obiady i kolacye, jeśli jesteś mądrym i potrafisz się wygodnie urządzić, możesz i lat kilka jeść gratisowe obiady i kolacye, nie przyjmując na się żadnego zresztą zobowiązania. Wystarczy od czasu do czasu zrobić minę sentymentalną, wzdychać, zawracać oczami, gdy zaś ojciec rzekomo wybranej zapyta:

— A jakże tam, kochany panie, z potrzebami serca? — odpowiedzieć:

— O! Panie radco dobrodzieju! Tak ważnej rzeczy nie załatwia się na poczekaniu! Nad tem głęboko należy się zastanowić!

Wówczas powiedzą, że nie jesteś lekkoduchem, ale zrównoważonym młodzieńcem i masz zapewnione obiady i kolacye bodaj znowu na rok.

Nie należy jednak przeciągać struny i zbyt często się w jednym i tym samym domu nie pokazywać. Wystarczy, jeśli się ma dwa lub trzy takie domy, w których uchodzi się za poważnego konkurenta, trzeba przecież pamiętać o tem, by nie wiedziała prawica, co robi lewica, bo... mogłoby się źle skończyć.

Dowiedziawszy się, jak nadużyłeś ich zaufania, ojciec bogdanki gotów cię zrzucić ze schodów, matka jej, jako czulsza osoba, powie tylko z rozpaczą:

— Mój Boże! Tyle obiadów i kolacyi nadarmo! A ja miałam od pierwszej chwili złe przeczucia, widząc z jakim je apetytem!... Kto się kocha, ten nie powinien jeść wiele... A tu do tego takie teraz ciężkie czasy!...

Trzecia z kolei notatka to znów temat do tragedyi i to, jak dla mnie, tragedyi życia codziennego. Czytam tam, czarne na białem: „W najbliższym czasie piwo podrożeje przynajmniej o cztery halerze na litrze".

To czterohalerzowe podrożenie odnosi się do browarów, które, z powodu braku jęczmienia, będą zmuszone ograniczyć produkcyę, skorzystają zaś ze sposobności szynkarze i restauratorzy, by upiec swą pieczeń i, obym był fałszywym prorokiem, każą nam za każdą szklankę płacić o cztery halerze więcej, by... był równiejszy rachunek!

Jeżeli komu, to im nigdy w tym kierunku nie braknie fantazyi, zawsze znajdą jakieś wytłumaczenie.

Gdym niedawno w jednej z krakowskich restauracyi dziwił się, że smażona kiełbasa podrożała znowu o dziesięć halerzy na porcyi, odpowiedział mi z miną poważną jadłodawca:

— Ale też zato porcye teraz są mniejsze!

Głowa puchnie, gdy sobie człowiek pomyśli, co to już teraz nie zdrożało dzięki tej wojnie! Doszło do tego, że nawet tak miły i popularny środek, jak olej rycynowy, kosztuje obecnie ośm koron, gdy dawniej za kilogram płaciło się coś około półtorej korony!..

We wojennym czasie, który obfituje w momenty powodujące wzruszenia, ostatecznie bez oleju rycynowego obejść się można, proszę mi jednak wytłumaczyć, jak prowadzić dyskusyę polityczną bez piwa?

Tego chyba nikt z nas dokazać nie potrafi. Bez bomb będzie ona mdłą i suchą, nie doprowadzi się nigdy do jednomyślności!

Bo, choćby przy stole biesiadnym siedziało kilku, a nawet kilkunastu mężów, z których każdy reprezentuje inny kierunek polityczny, przecież ostatecznie potrafią się zgodzić na jedno i to samo.

— Wiecie panowie? Dziś piwo doskonałe! Może by tak jeszcze jedną kolejkę?...

Poruszyłem tyle rozmaitych tematów, iż sądzę, że młodzi moi koledzy po piórze znajdą w tej kronice krynicę obfitą dla swego natchnienia i w tej myśli oddaję ją im na pastwę!

Wzmianka o podrożeniu piwa tak jednak podziałała na mą zbolałą duszę, iż, choćby nawet było więcej miejsca, musiałbym skończyć kronikę, czuję bowiem, iż zaczynam zapadać się coraz głębiej w tragiczny nastrój. Kto wie, czy nie popełniłbym nawet samobójstwa, a to podobno jest zaraźliwe, ja zaś nie chciałbym P. T. Czytelnikom dawać złego przykładu, zwłaszcza tym, którzy dotąd jeszcze prenumeraty za „Nowości illustrowane" nie odnowili.

Odkładam więc pióro (nie łamiąc go, bo i pióra podobno, jeżeli już nie podrożały, to w każdym razie lada dzień podrożeją) i, jeśli śląscy adwentyści się nie pomylili, i nie będzie końca świata, ewentualnie, jeśli owa gwiazda pokoju, która codzień (czytaj czeskie „Lidowe Nowiny") świeci między piątą a szóstą rano nad Beskidem Zachodnim, nie zwiastuje nam nastania lepszych czasów, wyjeżdżam stanowczo wraz z Aronem Gajerem i panią Hirschsprungową do Palestyny, kędy, według zapowiedzi „Gazety poniedziałkowej" ma być utworzone nowe królestwo żydowskie.

Ponieważ zaś wiem, że naród Izraela bez nas rady sobie sam tam nie da, tak, jak my tu w Galicyi bez niego także się obejść nie potrafimy, sądzę, że przyjmą mnie tam z otwartemi rękami i kieszenią i zrobią jakimś dostojnikiem.

Zagadki do nagrody.

Kryptogram.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W Pompei odkryto niedawno starożytną tablicę z następującym napisem, nad którego odcyfrowaniem siłą się nadarmo znakomici archeologowie:

CRAC.. REMI. J.. A...
D O. M.
M'J... APRO ...M... MIJ. A. AJA
NOSTRAE

Przysłowiówka.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Komu w drogę, temu czas.
2) Jaka praca, taka płaca.
3) Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.
4) Czas to pieniądz.
5) Skąpy dwa razy traci.
6) Dał ci Bóg dary, używajże miary.

Zadanie królewskie.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

		trwa	le	ba	na		
		wciąż	wy	trze	przód		
me	mu	cić	zle	ba	po	iść	i
sa	a	bu	trze	nie	mo	cić	świe
		nie	le	ne	gą		
		swój	ból	ża	próż		

Trójkąt magiczny.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą pierwszą głoskę imienia i nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Kraj w Ameryce 3. Owoc. 4. Okres czasu. 5 Jedna z wysp archipelagu malajskiego. 6. Przyrząd do łapania ryb. 7. Przyimek 8 Samogłoska.

Przekładanka.
Ułożył Uciekinier z Krakowa w Nowym Jiczynie.

Litery poprzestawiać w ten sposób, by powstały wyrazy o pewnem znaczeniu Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety.

a a i k n r n
a a d g i j w
a e i k p w ż
a a a j j k m
a a a p r s t
a d k ł o o w
d i n o r y y

Przysłowiówka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1) Poszedł, jak po śmierć.
2) Komu czego trzeba, drogo to szacuje.
3) Zaden uczony z nieba nie spadnie.
4) Na wojnie więcej rada niż oręż pomoże.
5) Źle czesać, kiedy włosów niema.
6) Każda sobaka ma swego robaka.
7) Kto pokorny, ten i mądry.
8) Sypakami go karmiono.
9) Z wody sera nie wyciśniesz.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Kasa, cek, Turek, jama, metr, tyjara, j, wiek.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Pieg i rydze mają łeb rud.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Podane litery w ten sposób poprzestawiać, aby powstały cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a d l
m n n o
o r w w

Znaczenie wyrazów: 1. Masa ognisto-płynna. 2 Imię męskie biblijne. 3 Napój. 4 Kolonia francuska.

Logogryf.
Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa

Znaleźć szereg wyrazów o podanem znaczeniu, których początkowe litery, czytane z góry na dół i końcowe z dołu do góry, utworzą nazwisko naszego rodaka, słynnego rymopisa łacińskiego z XVI wieku.

□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta polski. 2. Trucizna. 3 Dwie rzeki alpejskie. 4. Imię męskie. 5. Dziki naród. 6 Miasto na Kaukazie. 7. Największy z ssaków. 8. Odźwierny. 9. Kwiat. 10. Dopływ Missisippi.

Depesza.
Ułożył Sz Kiliński, Kraków.

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

„Tosiu! Nic nie wiem o A.
E. C.“

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Nowaczyńskiego:* **Apostoł tango.** Komedya.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Łamigłówka: Wóz, len, las, ton, Iza, syn, moc, ohm, śni, ewa, lei, wąs, tur.

Łamigłówka: Dosiego roku.

Figielek arytmetyczny: 12500 + 125.

Kwadrat magiczny:
I k a r
k a s a
a s a n
r a n o

Zadanie do przestawienia: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Logogryf: Jawa, Anna, Nawa, Zima, Adam, Mila, Orka, Juno, Sowa, Koza, Idzi.

Zagadka geograficzna: Archangielsk. Sandomierz. Metkowiec. Filipopol. Haarlem. Krakowiec. Mikuliczyn. Bukareszt. Salamanka. Saloniki. Czerniowce. Baltimore. Singapur. Jarosław. Kiszeniew.

Zadanie do przestawienia: Smierć i żona od Boga przeznaczona.

Logogryf:
B
l a k
b a b k a
k a r a b i n
o r z e ł
i w a
r o k
k o z a k
M o l u k k i
k a k a o
n o s
o n a
l i n
k o s
k o m a r
K a t a l o n i a
p r a ż n i k
s z c z e r o ś ć
K a m i l j u l i a n

Przysłowiówka: A od baby zawierucha. Dostać arbuza. As, bank trzasł. Lepszy rydz, niż nic. Było to za króla Augusta. Ewa Adamowa. Ręka rękę myje. Grzeczny, jak Badeni.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, K. Hakowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, L. Oholski Wadowice, S. Karczmarski Podębie, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków. J. Antosz Tarnów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Tarnów, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Mróz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.